

ZVONIMIR FURTINGER

ROZPRAWA PRECEDENSOWA

PRZEKŁAD: ELŻBIETA KWAŚNIEWSKA



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „ISKRY” WARSZAWA 1987

FANTASTYCZNIE BARWNE ŻYCIE

Zvonimir Furtinger, nestor jugosłowiańskiej fantastyki, urodzony w 1912 r. w Zagrzebiu, ma bardzo barwną i bujną drogę życia. Studiował historię i archeologię, a w okresie kryzysu miał się różnych zajęć: był grabarzem, szefem biura reklamy, członkiem trupy iluzjonistów, która wędrowała po Bliskim Wschodzie, po powrocie zaś do Zagrzebia kolejno: poligrafem, współwłaścicielem kopalni lignitu, dyrektorem kina i urzędnikiem w biurze huty. W latach wojny działalność literacka Furtingera ograniczała się do przepisywania nielegalnych ulotek. Tuż po wojnie podejmuje pracę w zagrzebskim radiu, jest dziennikarzem, reżyserem, scenarzystą, pisarzem, a jednocześnie ujawnia się jako muzyk, śpiewak, fotoreporter.

W jego literackim dorobku znajduje się wiele słuchowisk (przeważnie detektywistycznych), tłumaczenie i adaptacja *Komedii omyłek* Szekspira, scenariusze filmowe i liczne audycje popularnonaukowe i rozrywkowe. Oprócz wielu opowiadań Furtinger opublikował monografie o Schliemannie i K. Mayu oraz szereg powieści detektywistycznych, głównie pod pseudonimami Ben Hunter, V. Trag, B.F. Depolis. Wraz z S. Radovanoviciem napisał jeszcze przed wojną powieść SF *Mistrz Omega zdobywa świat*. Po wojnie w tandemie literackim z Mladenem Bjażiciem wydaje powieści o tematyce fantastyczno-naukowej: *Zdobycyca 2 nie zgłasza się* (1959), *Zagadkowa maszyna profesora Krużicia* (1969), *Kosmiczna panna młoda* (1962), *Martwi wracają* (1965).

PROCES
(*Proces*)

— Drogi Mark, zbytek fatygi, żeby dziękować za taki drobiazg.

Było to powitanie zupełnie nie pasujące do okoliczności, które zmusiły mnie do odwie-dzenia byłego pryncypała, adwokata, doktora Abrahama.

— Prawdę mówiąc, nie przyszedłem dziękować, lecz przeciwnie, poskarżyć się.

— O! — zdziwił się starszy pan — oczywiście pan uważa ten proces za zbyt błahy dla znakomitego świeżo upieczonego mecenasa. Na pańskim miejscu byłbym skromniejszy. Ostatecznie jest to

pierwsza samodzielna sprawa.

Tak, doktor Abraham miał rację. To była moja pierwsza samodzielna sprawa. On mi ją nawet zapewnił. Miałem bronić z urzędu jakiegoś typka, którego nie stać na adwokata. Nie-wątpliwie winienem Abrahamowi wdzięczność, bo w końcu lepsze to niż nic, a jakoś trzeba zacząć. Prócz tego, kto wie... jeśli uda mi się ją dobrze poprowadzić, może zdobędę rozgłos, choćby i wśród kryminalistów. To też są klienci. Rozważałem to czysto teoretycznie, bo praktycznie na horyzoncie zaczęły gromadzić się ciemne chmury nie wróżące nic dobrego. I właśnie dlatego odwiedziłem mego byłego szefa.

— Boję się, że w tej sprawie więcej będą mieli do powiedzenia psychiatrzy niż prawni-cy — zacząłem ostrożnie.

Doktor Abraham tonem jakby usprawiedliwienia rzekł:

— Mówiąc szczerze, niezbyt się orientuję, o co właściwie chodzi. Wiem, że ktoś, nazwiskiem chyba Selinger, jest oskarżony o rozbój, drobne kradzieże i używanie cudzego nazwiska, to jest cudzych dokumentów. Resztę przypuszczalnie zna pan?

— W tym sęk, że nie wiem nic, a raczej tylko to, czego dowiedziałem się od klienta, to znaczy, jak to powiedzieć...

— No, jak by pan to określił? — zachęcał go. adwokat unosząc brwi w oczekiwaniu.

— Powiedziałbym... Zresztą, niech pan sam oceni. Klient twierdzi, że jest astronautą i miał wypadek.

Z twarzy mego eks-szefa można było wyczytać, że ten fakt zbytnio go nie zaskoczył.

— Mój Boże, tu przecież łatwo stwierdzić, co jest prawdą, a co kłamstwem. Nie ma na świecie aż tylu astronautów, żeby nie można było prześledzić życia każdego z nich. Jeśli ten fakt jest prawdziwy, z łatwością uzyskamy wyrok uniewinniający. Brak równowagi wewnętrznej po stanie nieważkości, uszkodzenie mózgu na skutek zbyt dużych przyspieszeń, nie znany nam jeszcze wpływ głębi kosmosu... Prócz tego trzeba zwrócić uwagę na jego zasługi dla nauki... tak, jest on ofiarą nauki i jako...

Przerwałem wszystkie te rady energicznym ruchem ręki.

— Wybacz pan, panie doktorze, nie zrozumieliśmy się dobrze. Mój klient wprawdzie twierdzi, że jest astronautą, ale jego statek pochodzi z jakiegoś innego układu, nie z naszego. Jednym słowem on jest kosmitą.

Doktor Abraham z rozczarowaniem rozłożył ręce.

— W takim razie rzeczywiście nie pozostaje nic innego, jak zwrócić się do psychiatrów. Jeśli powiedzą, że mamy do czynienia z osobą o zaburzeniach psychicznych, pański klient zostanie uznany za osobę niepoczytalną i zwolniony od odpowiedzialności, a jeśli wykażą, że jest przy zdrowych zmysłach, przegra pan proces. Rzeczywiście, niezręczna sytuacja. Ale jak już jesteśmy przy tym, proszę mi powtórzyć wszystko, co mówił pański klient. Może mi przyjdzie do głowy jakiś pomysł. Jak więc snuł i ozdabiał swoją historię?

— Muszę przyznać, że brzmi bardzo logicznie.

— To się często zdarza u wariatów — rzucił doktor Abraham.

— Mój klient starał się przekonać mnie, że był członkiem załogi statku kosmicznego, który krążył w pobliżu Ziemi. W pewnym momencie zauważył, że nie można otworzyć jedne-go segmentu osłony na powierzchni statku, regulującej przepływ promieni kosmicznych czy coś takiego. Posłali więc mego klienta, który był członkiem grupy konserwatorów, na zewnątrz, by sprawdził przyczynę awarii i, jeśli to możliwe, usunął uszkodzenie. Wyszedł i w pewnej chwili — sam nie wie, z jakiej przyczyny — znikła sztuczna grawitacja, która go trzymała przy powłoce. Czy ją pomyłkowo wyłączył, czy coś się popsuło, nie umiał mi powiedzieć. Wie tylko to, jak twierdzi, że nagle stracił grunt pod nogami i że coś odrzuciło go w przestrzeń. Natychmiast uruchomił poduszkę ratunkową i za pomocą tego urządzenia wylądował na Ziemi.

— Hm, hm... — chrząknął doktor Abraham — nie znam się na astronautyce, ale nasuwa mi się pytanie, dlaczego wylądował na Ziemi... zakładając, że tak było naprawdę... niewątpliwie łatwiej i rozsądniej było lądować na własnym statku za pomocą tej... poduszki ratunkowej.

— Zadałem mu to samo pytanie. Wytłumaczył mi, że właśnie przez to, że na statku kosmicznym przestało działać sztuczne przyciąganie, stracił punkt orientacyjny. Jedyнным stałym punktem z grawitacją i polem magnetycznym była Ziemia. Prócz tego nie dysponował nieograniczoną ilością energii, żeby mógł swobodnie skakać we wszechświecie, musiał więc wziąć to, co było najbliższe i najpewniejsze. I tak już lądował na ostatnich atomach paliwa.

Spojrzałem z ukosa na doktora Abrahama, by się przekonać, czy

jego cierpliwość się nie wyczerpała, ale on całkiem nieźle się bawił.

— Zręcznie wybrnął — rzekł z uznaniem w głosie — i co było dalej?

— A więc pan uważa, że wszystko zdarzyło się właśnie tak, jak mówił mój klient. Przecież to... — Nie zdążyłem dokończyć, bo przerwał mi śmiech Abrahama.

— Nigdy nie nauczy się pan rozróżniać istotne od nieistotnego. Miałem na myśli tylko to, że wszystko pięknie logicznie uzasadnił. Oczywiście mamy do czynienia z podmiotem inteligentnym. No, dobrze, jak brzmi dalej opowieść?

— Znalazł się na Ziemi. Atmosfera była odpowiednia, co stwierdzili pomiarami jeszcze na statku. Z początku mój klient myślał, że największą trudność sprawi mu niezajomość języka. Prawdopodobnie łatwo wytłumaczyłby swoją sytuację, gdyby mógł się porozumieć. A wtedy znalazłaby się jakaś instytucja, która by mu pomogła. Pocieszał się, że i tę przeszkodę wkrótce pokona, gdyż, i tu widać, jak dobrze nauczył się swojej roli, ich cechuje o wiele doskonalsza umysłowość niż nas. Mógłby się więc w ciągu kilku dni lub nawet godzin nauczyć jakiegoś języka. Oczywiście należałoby mu to umożliwić.

Abraham potakująco kiwał głową, a potem spojrzał w oczekiwaniu dalszego ciągu.

— Kłopoty przyszły z zupełnie innej strony. Powiada, że spadł w jakimś parku i wywołał sensację swoim wyglądem.

— Muszę panu przerwać. Dotychczas odnosiłem wrażenie, że pański klient wyglądał tak, jak każdy człowiek. Teraz mówi pan o dziwnym wyglądzie. Jaki on właściwie jest?

— W istocie jest to niewątpliwie człowiek, ale przypomina człowieka ze Wschodu. Proszę sobie wyobrazić blond Araba, którego matka jest Mongołką, a otrzyma pan pewne wyobrażenie tej postaci. Ale nie wygląd fizyczny wzbudził sensację, lecz ubranie. Z tego, jak je opisuje, wydaje się, że miał długie białe kalesony i koszulę zapiętą pod szyję. Wyglądał więc, jakby był nie ubrany, jedynie w dolnej bieliźnie, jaką noszono przed półwiekiem. Ale nasz człowiek jest bystry. Z miejsca pojął, że ludzie odnoszą się do niego nieufnie z powodu niezwykłej odzieży, więc szybko znikł. Ukrył gdzieś to, co uważał za najcenniejsze, to jest poduszkę ratunkową. Jediną korzyścią, jaką odniósł z pierwszego spotkania z ludźmi, było

nauczenie się kilku słów i zrozumienie istoty systemu naszego języka.

— Tak oczywiście twierdzi on — zauważył doktor Abraham.

— Oczywiście, ja go cały czas cytuję, a co o tym myślę, to rzecz zupełnie inna — od-rzekłem, spieszenie oddalając od siebie wszelkie podejrzenia, żeby móc wierzyć choć odrobinę w tę opowieść. — Przed wieczorem doszedł do tego nowy kłopot. Zaczął odczuwać głód. Nie wziął ze sobą zapasu tabletek, co jest całkiem naturalne, gdyż nie przypuszczał, że straci kontakt ze statkiem. Był więc skazany na żywność naturalną, ale szybko pojął, że jedzenie nie leży na ulicy, że zawsze jest czyjeś i że nikt mu dobrowolnie nie da. Nie pozostało mu nic innego, jak poradzić sobie samemu. Przeskoczył płot czyjegoś ogrodu i narwał sporo jabłek. Sprzed drzwi jakiegoś domu wziął butelkę mleka i tu natknął się na psa, ale udało mu się wyjść cało.

Następnego dnia uśmiechnęło się do niego szczęście. Trafił na targ, gdzie sprzedawano używaną odzież. Wykorzystał moment, kiedy sprzedawca odszedł zmienić pieniądze, i ukradł spodnie. Później miał okazję ukraść parę butów, ale musiał je wyrzucić, bo były za ciasne. Nawet w samych spodniach, już mniej rzucał się w oczy. Potem trafił do jakiejś restauracji, zjadł obiad i umknął nie zapłaciwszy. Po południu, przechodząc ścieżką przez las, spotkał idącą naprzeciw kobietę... Nazwiska wszystkich poszkodowanych są w aktach sądowych. Kobieta miała siatkę, przez którą wyraźnie widać było mięso i kiść bananów. Nasz człowiek uważał, że jest to dobra okazja do zdobycia jedzenia. Wyrwał jej po prostu siatkę z ręki i uciekł. Szybko jednak zrozumiał, że kobieta narobi krzyku i przywoła ludzi, którzy łapią tych, co zabierają cudze dobro. Dlatego ruszył ścieżką w dół, a potem skręcił do lasu i pobiegł równoległe z obrabowaną kobietą. Gdy zobaczył, którądy idzie pogoń, zawrócił i ukrył się w pomieszczeniach należących, jak potem stwierdzono, do klubu wioślarskiego. Przeglądając zawartość siatki, odkrył w niej oprócz mięsa i bananów portmonetkę. Chociaż oni na tej ich planecie nie używają pieniędzy, szybko pojął, do czego służą te papierki, i od razu poczuł się pewniej. Prócz tego znalazł w kabinach i szafkach klubu wioślarskiego buty i odzież i tak uzupełnił garderobę. Teraz już śmiało poruszał się w tłumie. W ciągu dwóch dni nauczył się języka tak, że mógł się zupełnie dobrze porozumieć. Poznał jakichś ludzi, według tego, co opisuje, dosyć podejrzanych. Ostrzegli go, że bez dokumentów nie będzie mógł się nigdzie ruszyć. A ponieważ sądził,

że jest to trudność nie do pokonania, zaczął się im zwierzać. Opowiedział o swojej przygodzie i prosił, by mu pomogli. Nic z tego jednak nie wyszło. Jedni śmiali się z jego opowieści i nawet chcieli uczyć dowcipnego łgarza kielichem wina, drudzy ze współczuciem kręcili głowami, a jeszcze inni otwarcie radzili udać się do dobrego psychia-try, ale wszystko się szczęśliwie skończyło. Ktoś z tych, co go brali za dowcipnego łgarza, za-proponował mu cudze dokumenty za stosunkowo niską cenę, jaką mógł zapłacić z ukradzio-nych pieniędzy. Teraz dopiero stał się prawdziwym człowiekiem.

Przerwałem na chwilę, co wykorzystał doktor Abraham, żeby wtrącić:

— Z tego wynika, że ten wasz kosmita zdecydował się zostać na naszej Ziemi i całko-wicie przystosować do nowej sytuacji.

— Z pozoru tak się wydaje, ale powiedział mi, że chciał zarobić pieniądze i za tę sumę przygotować swoją poduszkę ratunkową. Gdyby mu się to udało, mógłby wrócić do swoich. Nie wiem tylko, czy myślał przy tym o statku, swojej planecie czy jeszcze o czymś innym.

— Chyba jednak o statku — mruknął doktor Abraham — bo obojętne, ile czasu minęło, odkąd kosmita dotarł na Ziemię, to zawsze statek będzie bliżej niż ta planeta. Tak, rzeczywi-ście by tak było, gdyby wszystko, co panu opowiedział, było prawdą.

Zgodziłem się z doktorem Abrahamem i mimochodem przyznałem, że szczegóły techniczne mnie zbytnio nie interesowały, gdyż zasadnicza teza, przy której się upiera, jest nieprawdopodobna. Dlatego baczniejszą uwagę zwróciłem na stronę psychiczną, sposób rozu-mowania, wynikający z jego opowieści.

— Wszystko ładnie, pięknie, ale właściwie co pan chce, młody człowieku? — zapytał na koniec doktor Abraham.

— Przede wszystkim rady: czy w ogóle mam się podjąć obrony? Teraz, po wysłuchaniu szczegółów, mógłby mi pan udzielić rady. A jeśli podejmę się obrony, prosiłbym pana o kilka słów, jak ją ustawić. W końcu aplikowałem u pana i myślę, że w pewnej mierze mogę oczeki-wać od pana pomocy. Prócz tego nie można zapominać, że to za pana przyczyną otrzymałem tę sprawę.

Doktor Abraham namyślał się czas jakiś, a potem twarz mu się rozjaśniła.

— Niech pan posłucha, Mark, a dlaczego by nie?

— Co pan ma na myśli?

— Dlaczego nie miałby się pan podjąć obrony i przyjąć stanowiska, jakie zajmuje pana klient? Nie wierzę wprawdzie, że go pan wybroni: tak czy inaczej zostanie skazany, ale pan zdobędzie rozgłos, a panu jako młodemu adwokatowi odrobina reklamy nie zaszkodzi. W najgorszym razie wszyscy będą mówić o adwokacie, który bronił fałszywego kosmity.

— Myśli pan poważnie?

— Proszę nie przerywać. To jeszcze nie wszystko. Znajdą się i tacy, którzy będą pytać, czy rzeczywiście nie był to prawdziwy kosmita. Czy czasem nie skazali go dlatego, by świat się nie dowiedział, że na naszej planecie wylądował ktoś z kosmosu, i by w ten sposób uni-knąć ewentualnej paniki. A o to właśnie chodzi.

* * *

Następnego dnia raz jeszcze odwiedziłem swego klienta w więzieniu. Zdecydowałem się powiadomić go, że będę się ściśle trzymał jego linii obrony, ale żeby za to... No, w końcu, oto jak się sprawy miały:

— Jest pan aresztowany pod nazwiskiem Alfred Selinger. Ustalono, że nie jest to pań-skie prawdziwe nazwisko, lecz że takie jest w dokumentach, którymi się pan posługiwał.

— Dokładnie tak — odpowiedział mój klient wpatrując się we mnie z naiwnym zaufa-niem.

— Świetnie, a czy mógłby mi pan podać swoje prawdziwe nazwisko?

Czekałem w napięciu, co mi odpowie, gdyż pierwsza moja próba była bezowocna. Słyszałem, że i w śledztwie były kłopoty z jego nazwiskiem.

— Mogę powtórzyć tylko to, co już mówiłem. Nic by panu z tego nie przyszło. W moim języku to nazwisko nic panu nie powie, ale dobrze, przetłumaczę je. Z doświadczenia wiem, że dla ludzi z waszej planety imiona nasze są niezrozumiałe. No więc moje imię w swobodnym przekładzie znaczyłoby: Ten Który Mieszka w Trzeciej Warstwie w Ósmym Sektorze Drugiej Jednostki i Ma Prawo do Czterodniowego Wyjścia.

Zdumiała mnie taka fantazja. Ten człowiek najwyraźniej dobrze

wystudiował swoją rolę, zanim zaczął udawać naiwnego kosmitę. Oczywiście nie okazałem zdumienia, tylko udawałem, że przyjmuję wyjaśnienie. Poprosiłem jednak o dodatkowe informacje.

— Czy mógłby pan bliżej określić, co znaczy trzecia warstwa? Sektory i jednostki jeszcze mógłbym jakoś zrozumieć. No i to o czterodniowym wyjściu? To też wydaje się trochę dziwne.

Mój klient nie był zaskoczony. Zaczął mi tłumaczyć jak ojciec dziecku:

— Nasza planeta jest przeludniona. Nie dla wszystkich jest na niej miejsce. Dlatego musieliśmy wznieść jedenaście warstw, jedna nad drugą, abyśmy się mogli jako tako poruszać. Ale i to nie wystarczyło, dlatego możemy wychodzić na ulicę, tylko kiedy nam wolno, a nie gdy mamy ochotę. Jedynie w ten sposób można utrzymać komunikację. Bez numeru wyjść nie wolno i jeśli chce się kogoś ograniczyć, wystarczy, że władze zabiorą mu numer.

Myślałem o tym, jak kontynuować rozmowę. Rzeczywiście doskonale wszystko obmyśliłem, ale dla obrony dane te nie miały żadnego znaczenia. Zdecydowałem zmienić temat rozmowy:

— Przyznaję, że nieporęczniej zwracać się do pana właściwym nazwiskiem. Czy zgodzi się pan, że będę po prostu mówił Alfred lub Selinger?

Mój klient machnął ręką.

— Jeśli panu tak wygodniej, choć muszę przyznać, że nie jest mi przyjemnie być nazywanym imieniem tego kryminalisty. Przez to nazwisko i te dokumenty, za które płaciłem pieniędzmi, zdobytymi z takim trudem, trafiłem do więzienia.

— Pieniądze może i z trudem zdobyte, ale całkowicie nieuczciwie — nie mogłem się powstrzymać od uwagi. — Już samo to wystarczy do aresztowania.

Przez twarz przebiegł mu cień smutku.

— Pan jakby mi nie wierzył, a powiedziałem tylko to, co wydarzyło się naprawdę. Trzymam się ściśle tego, co powiedziano mi w śledztwie: że prawda jest najlepszą obroną.

Na chwilę zapomniałem o radach Abrahama i dałem upust zdenerwowaniu.

— Słuchaj, Selinger z trzeciej warstwy i cała ta reszta, coś powiedział o sobie. Czy mogliśmy jednak ustalić coś bardziej rozsądnego? To, co tu pan wymyślił na obronę, jest zbyt fantastyczne,

żeby ktokolwiek mógł w to uwierzyć. Owszem, przyznaję, że jest w tym logika. Może za sto lat udałaby się taka obrona, ale dzisiaj, w dwudziestym wieku, o nie, to nie chwy-ci. Jeszcze za wcześnie. Cała rzecz miałaby sens tylko wtedy, gdyby pan chciał udowodnić chorobę psychiczną. Ale uprzedzam pana, że nie jest to najszcześniejszy wybór. Za te pańskie czyny w najgorszym razie mógłby pan posiedzieć jakiś rok, a potem znów byłby pan wolny. Ale jeśli gra pan wariata, i to z powodzeniem, może się zdarzyć, że zostanie pan do końca życia w jakiejś klinice psychiatrycznej. Dlatego proponuję wymyślić coś lepszego.

Mój klient spojrzał na mnie przerażony i zawołał:

— A więc i pan mi nie wierzy! Co więc mam zrobić?

No pięknie. Ten człowiek wyraźnie się uparł. Wymyślił piękną bajeczkę i tak wierzy w jej cudowne działanie, że jest po prostu głuchy na wszystkie dobre rady. Tak się zdarza, mogłem się o tym przekonać praktykując u doktora Abrahama. Ale co ja tu mogę zrobić? Zdecydowałem się jednak posłuchać rady mego byłego pryncypała.

— Słuchaj, Selinger, zgadzam się na pańską obronę tak, jak pan to przedstawił. Proszę nie zwracać uwagi na moje ociąganie się i wątpliwości. To było czysto rutynowe, chciałem się przekonać, czy będzie się pan niezłomnie trzymał takiej linii. Tylko... proszę się nie dzi-wić, jeśli skończy pan w domu wariatów.

— To moja rzecz. Nie wierzę, żeby mogło mi się to przydarzyć na waszej planecie, gdzie jest tylu rozumnych i bystrych ludzi, o czym dotychczas mogłem się przekonać.

* * *

Następne dni poświęciłem na studiowanie ustaw, na które można by się powołać w procesie. Sęk w tym, że mój klient przyznawał się do wszystkiego, nie mogłem więc postawić na negację i na koniec ewentualnie uznać tylko to, co sąd udowodni. Nie mogłem nawet łago-dzić poszczególnych fragmentów, gdyż zeznania świadków były całkowicie zgodne z zezna-niem oskarżonego. A więc trzeba było znaleźć jakieś okoliczności łagodzące. No tak, ale co? Mogłem apelować do dobrego serca ławników, ukazując straszną nędzę, w jakiej żył mój klient. Ale cała rzecz by przepadła, gdyby komuś przyszło do głowy zapytać, co mój klient robił, zanim tak nisko upadł.

Ani ja, ani nikt nic nie wiedział o wcześniejszym życiu oskarżonego, ani kim właściwie jest. Trzymanie się jego historyjki nie dałoby żadnych wyników, bo kto mu uwierzy. Prócz tego dowiedziałem się poufnie, że psychiatrzy oświadczyli, że chodzi o bardzo inteligentną jednostkę, świadomą swych czynów, więc zaburzenia psychiczne nie wchodzi w rachubę. Na koniec stwierdziłem, że nie dysponuję żadnym argumentem, który mógłby stanowić jakąkolwiek okoliczność łagodzącą. Nie mogłem również wykorzystać przyznania się oskarżonego jako dowodu skruchy, bo to by umacniało to przekłete gadanie o przybyciu z kosmosu. Sędziowie i ławnicy wzięliby to jeszcze za kpinę. Byłem po prostu bezbronny i nie śmiałem nawet pomyśleć o posłużeniu się argumentami, które najczęściej by-wają pewniakami, jak trudne dzieciństwo, złe wychowanie, obciążenia dziedziczne. Żadnej z tych pięknych rzeczy nie mogłem użyć.

Doktor Abraham radził mi traktować oświadczenia oskarżonego jako zgodne z prawdą. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej wydawało mi się, że to nie ma sensu i że stary chciał mnie po prostu zwyczajnie zbyć.

Niezadowolony z siebie i z sytuacji ponownie poszedłem do doktora Abrahama. Może jednak coś mi doradzi.

Doktor Abraham był w świetnym humorze.

— No, Mark, co nowego? — przywitał mnie. — Jeśli się nie mylę, jutro rozprawa? Czy dobrze opracował pan obronę?

Ponieważ milczałem, doktor Abraham zrozumiał, że sprawa stoi źle, ze smutkiem pokiwał głową i rzekł zachęcająco:

— No, chciałbym usłyszeć, co pan powie.

— Szanowny kolego, mój były pryncypale — rozpocząłem tyradę — ciągle nie jestem pewien, czy przeklinać chwilę, kiedyśmy się poznali, czy tylko moment, gdy namówił mnie pan do przyjęcia tej sprawy.

— Tak, tak — doktor Abraham nie dał się sprowokować do uśmiechu — mogłem się tego spodziewać. Oto... dzisiejsza młodzież. Czyż nie wie pan, że najważniejsze to odróżnić istotne od nieistotnego?

— Przepraszam — odpowiedziałem zimno — w ciągu ostatnich trzech lat miałem okazję słyszeć to od pana co najmniej dziesięć razy na dzień, a niedawno też mi pan o tym przy-pomniał.

— A więc dlaczego się pan tego nie trzyma? — Abraham

wyraźnie nie zauważył sarkazmu.

Czułem, jak się w środku gotuję. Bałem się, żeby nie wybuchnąć, i nie chciałem dalej prowadzić niemiłej rozmowy, która w ostateczności tylko mnie przyniosłaby szkodę.

— Proszę posłuchać, doktorze — próbowałem mówić jak najspokojniej, ale głos miałem piskliwy — istotne jest, że czyny zostały popełnione, istotne jest, że mój klient do wszystkiego się przyznaje, istotne jest, że psychiatrzy uznali go za w pełni poczytalnego. Również istotne jest to, że mój klient ani na jotę nie odstępował od swej kosmicznej historii, a nieważne są wszystkie możliwości złagodzenia wyroku... o uniewinnieniu nie ma co marzyć. Do tej samej kategorii zaliczyłbym pańską radę, by zbudować obronę na fundamencie zeznań oskarżonego. Jak pan widzi, jestem i pozostaję pańskim dobrym uczniem.

Powiedziawszy to, zaśmiałem się bez sensu. Doktor Abraham spokojnie odczekał, aż się uspokoję, i kontynuował jak gdyby nigdy nic.

— Nie powiedziałbym, że jest pan moim dobrym uczniem. Widzę, przynajmniej w tym wypadku, że zajmuje się pan nieistotnymi faktami.

— Pan oczywiście jest zdania, że przestępstwo i przyznanie się do niego to rzeczy zupełnie nieistotne.

— W tym wypadku bezwzględnie tak — głosiła odpowiedź, która mnie dość zdziwiła.

Doktor Abraham wziął jakąś książkę z biurka i podał mi z poleceniem, bym ją otworzył na którejkolwiek stronie.

— Proszę przeczytać, co pan znalazł. Niekoniecznie początek zdania.

Nie potrafiłem odgadnąć, o co staremu chodzi, ale posłusznie odczytałem:

— *Z prawa wekslowego wyłączeni są wojskowi, osoby duchowne, psychicznie chorzy, osoby pod kuratelą...*

— Wystarczy — przerwał doktor Abraham. — Zgodnie z tym kto może żyrować weksel?

— Każdy, kto tu nie jest wyraźnie wymieniony — odpowiedziałem nie pojmując, ku czemu zmierza mój były szef.

— Bardzo dobrze — rzekł, co mi się wydało bardziej ironią niż pochwałą — niech pan teraz otworzy na innej stronie i posłuchajmy.

Więc?

— *Jeśli komuś zostanie udowodnione, że nie zgłosił swoich dochodów, które podlegają podatkowi...*

— Świetnie — przerwał znów Abraham. — A więc kto musi zgłaszać obowiązek podatkowy?

— Każda osoba... fizyczna lub prawna.

Tak mnie zaskoczył, że o mało nie zacząłem mówić głupstw.

— Doskonale, nie będę pana już męczył ustawami. Proszę mi teraz odpowiedzieć na zupełnie inne pytanie: czy można się procesować o odszkodowanie ze szczurem?

— Szczurem?... Odszkodowanie?... — Byłem całkowicie zbity z tropu i czułem, że mo-ja cierpliwość jest na wyczerpaniu.

— Tak. Szczurem. Szczur panu zjadł buty, nogę antycznego fotela i pół szynki. Szkada wynosi mniej więcej trzydzieści tysięcy. To powinno być zwrócone.

— Śmieszne — zdołałem wreszcie powiedzieć coś do rzeczy — jasne, że go nie mogą skarżyć.

— A kot, który wypił trzy litry mleka, ściągnął befszytk i udusił kanarka jak mysz?

Pozbierałem się jakoś w sobie. Stary niewątpliwie szydzi, jednak zachowam zimną krew i będę grzeczny.

— Doktorze, szczerze mówiąc, nie wiem, co myśleć o tych pytaniach. Jeśli to żart, to może i zabawny, dzisiaj jednak naprawdę nie jest mi do śmiechu. Ale oczywiście wróćmy do pańskich pytań, które są...

— Istotne — uzupełnił doktor Abraham. — Przynajmniej w pańskim przypadku istotne jest to, czego pan nie chce lub nie może dostrzec. A teraz niech się pan uspokoi i uważnie posłucha. Całą sprawę musimy ustawić tak: czy istota z kosmosu jest człowiekiem, czy kimś innym? Jeśli jest człowiekiem, to podlega wszystkim prawom ludzkim, ale jeśli człowiekiem nie jest, nie można się powoływać na żadną odpowiedzialność. Prawa są tylko dla ludzi. Tego należy się trzymać. Jeśli nawet przegra pan sprawę, to zdobędzie rozgłos. Będzie pan pier-wszym obrońcą, który zmusił sąd do zdefiniowania, co to jest człowiek.

* * *

Proces rozpoczął się nijako. Wydawało się, że dziennikarze nie pojęli, co można by wyciągnąć dla publiczności z tej rozprawy, i gazety ani słowem nie wspomniały, że będzie sądzony człowiek oskarżony o rozbój, kradzieże i posługiwanie się cudzymi dokumentami, który uparcie twierdzi, że spadł z kosmosu. Dlatego też publiczności było niewiele. Sędzia ani ławnicy nie wykazywali większego zainteresowania i jakby tylko czekali, aż prokurator i obrońca powiedzą swoje, żeby podjąć byle jaką decyzję. Po spojrzeniach rzucanych memu klientowi i mnie wiedziałem, że już z góry uznają oskarżonego winnym i skazanym.

W czasie procesu w ogóle nie wdawałem się w dyskurs. Pozwoliłem prokuratorowi wypowiedzieć się i pytać, o co zechce, gdyż i tak nie mogło to wpłynąć na przebieg rozprawy. Zostawiłem bombę na koniec.

Już przy ustalaniu podstawowych danych nastąpiło małe starcie. Oskarżony twierdził, że nie potrafi w naszym języku powiedzieć, jak się nazywa jego planeta, a także nie może podać miejsca urodzenia. Prokurator żądał, by wniesiono do protokołu, że oskarżony nie chce podać miejsca urodzenia, ale sędzia zadowolił się sformułowaniem: miejsce urodzenia nie-znane. Drugi szok nastąpił, gdy oskarżony stwierdził, że ma 97 lat. Domniemywano, że nie ma nawet trzydziestu. Kiedy mu sędzia zwrócił na to uwagę, oskarżony powiedział, że to z powodu różnicy w obrotach jego planety wokół jej słońca i rachunku czasu na Ziemi. Musiałem w duchu przyznać, że bądź co bądź jest konsekwentny.

Zainteresowanie rozprawą wzmoгло się, gdy sędzia zapytał oskarżonego, jak sobie wyobraża pobyt na Ziemi, zakładając, że jego zeznania są prawdziwe, co oczywiście było nonsensem.

— Chciałem w uczciwy sposób zarabiać i zaoszczędzić na kupno surowca potrzebnego do naprawy poduszki ratunkowej. Wtedy za jej pomocą mógłbym opuścić waszą planetę — głosiła odpowiedź. Było to dla mnie coś nowego, więc przerwałem milczenie.

— A o jakich surowcach pan mówi?

— Protestuję — odezwał się prokurator — to nie jest istotne i absolutnie nie może wpłynąć na przebieg procesu. Rozwlecze go tylko w nieskończoność.

Sędzia uznał protest i odpowiedzi nie usłyszeliśmy.

Podczas gdy oskarżony obszernie mówił o swoich przygodach

kosmicznych, prokurator kilkakrotnie próbował mu przerwać, twierdząc, że takie bzdury narażają na szwank powagę sądu. Nie udobruchało go nawet pełne przyznanie się do winy, choć zwykle dla każdego przedstawiciela oskarżenia jest to okoliczność łagodząca.

— Niedopuszczalne jest wynoszenie takich bzdur na tak dostojne miejsce, jakim jest sąd.

Ale sędzia wyraźnie lubił fantastykę i chciał usłyszeć opowieść do końca, tak więc interwencja oskarżenia trafiła w próżnię.

— Mówiąc szczerze — zakończył swój wywód oskarżony — muszę przyznać, że jestem rozczarowany mieszkańcami tej planety. Zamiast pomocy w imię wszechświatowego braterstwa spotykają mnie tylko nieprzyjemności i kłopoty. U was człowiek nie jest człowiekiem, jeśli nie ma ubrania i dokumentów. A żeby stać się człowiekiem, jakiego wy uznajecie, byłem zmuszony popełnić cały szereg występków, których oczywiście żałuję, ale były nieuniknione.

Następnie sędzia przeczytał orzeczenie psychiatrów i kiwając głową odłożył akta. Prokurator natychmiast wykorzystał okazję:

— Tak, oskarżony jest osobą normalną, która nadużywa swej inteligencji. Tą fantastyczną formą obrony posługuje się przede wszystkim po to, by ośmieszyć sąd.

Wreszcie nadeszła chwila obrony. Prokurator był w średnim wieku, ale wyglądem zewnętrznym i sposobem ubierania się sprawiał wrażenie ograniczonego konserwatysty. Miał krótko obcięte włosy, długie faworyty i jakieś staromodne ubranie z kamizelką, do której była przymocowana złota dewizka z zegarkiem, także złotym. Trzeba powiedzieć, że nie wyglądał sympatycznie, i to nie tylko dla mnie, jego urzędowego przeciwnika, lecz także dla sędziego i ławników, wyraźnie ich nudził. Widać to było po tym, jak na niego patrzyli, gdy mówił. Oczywiście nie odstąpił od swego oskarżenia i żądał najwyższej możliwej kary za wszystkie czyny mojego klienta. Było to według niego konieczne, aby w przyszłości nikomu nawet przez myśl nie przeszło wystawiać sąd na pośmiewisko.

Wtedy przyszła kolej na mnie. Poczuję, że wstąpił we mnie duch doktora Abrahama, i zupełnie zapomniałem o mowie, którą sobie przygotowałem. Zacząłem tak po prostu, jak mi się myśli nasuwały:

— Wysoki sądzie, w każdej sprawie prawnej trzeba rozróżniać istotne od nieistotnego. W tym wypadku czyny przestępcze w ogóle

nie są istotne, istotnym natomiast jest ustalenie, kto dokonał przestępstwa. Nie mam tu na myśli prawdziwego nazwiska oskarżonego, które praktycznie nie istnieje, gdyż nie przyjmujemy go nawet, jeśli się dowiemy, jak brzmi, musimy natomiast wyraźnie ustalić, czy oskarżony podlega jakimkolwiek prawu na tym świecie, na naszej Ziemi.

Zrobiłem krótką pauzę i rozejrzałem się po sali. Miałem wrażenie, że ludzie przebudzili się, gdyż spojrzenia ławników były skierowane na moje usta. Ciągnąłem więc dalej.

— Jeśli zeznania mojego klienta są prawdziwe, czyli nie pochodzi on z Ziemi, to należy postawić pytanie, czy możemy go w ogóle zaliczyć do rodzaju ludzkiego. Zobaczmy też, co przemawia za tą tezą, a co ją neguje. Neguje ją właściwie tylko to, że dotychczas nie znany nam jest ani jeden wypadek lądowania kosmity na naszej planecie. Dalej, zapytajcie pier-wszego lepszego naukowca lub osobę postronną, nie zajmującą się nauką, czy istnieje życie na innych ciałach niebieskich we wszechświecie. Dziewięciu na dziesięciu zapytanych odpo-wie, że na setki lub tysiące planet we wszechświecie musiało gdzieś powstać życie podobne do naszego. Gdzieś może to życie jest wyżej rozwinięte, a gdzie indziej jest na niższym stopniu rozwoju, ale są to już nieważne szczegóły. I ci sami ludzie zaprzeczają z oburzeniem, odrzucając samą myśl o tym, że ktoś z takiej planety mógłby wylądować na Ziemi. Cóż znaczy taka niekonsekwencja? Tylko to, że ludzie od pokoleń przywykli nazywać taką myśl fantazją, pijackim przywidzeniem i tak dalej.

Wypiłem łyk wody i mówiłem dalej.

— Zobaczmy; co przemawia za prawdziwością zeznań oskarżonego. Badania lekarskie nie wykazały, że mój klient jest istotą nie posiadającą cech ludzkich, ale nie zapominajmy: takie same przyczyny, takie same skutki, taki sam rezultat. A więc jeśli na tamtej planecie panują takie same warunki klimatyczne, grawitacja i tak dalej, byłoby logiczne, gdyby rozwi-nęły się takie same istoty jak u nas. Nie ma więc powodu nie wierzyć w to, że we wszech-świecie żywe formy mogą się powtarzać. Ale jeszcze nie to jest najważniejsze. O tym, że mamy do czynienia z istotą z innej planety, świadczą właśnie czyny, z powodu których stoi teraz przed tym sądem. Wzywam wszystkich obecnych, aby szczerze powiedzieli, jak by się zachowywali na miejscu oskarżonego. Może niejednen z nas uczyniłby

coś jeszcze gorszego niż oskarżony. Ale pójdźmy dalej. Nawet w bardzo drobiazgowym śledztwie nie mogliśmy ustalić, skąd przybył. Jego odciski palców nie istnieją w żadnych kartotekach na kuli ziemskiej. Gdyby pochodził z Ziemi, natrafiono by gdzieś na jakiś jego ślad. Zawiódł tu także Interpol — bo musiał zawieść. Niewątpliwie jest to ktoś, kto pierwszy raz stanął przed naszym sądem lub, ściślej mówiąc, kto w ogóle pierwszy raz stanął przed instytucją państwową. Celowo unikam słowa „człowiek”, gdyż jest całkiem jasne, że nie chodzi o człowieka. Człowiekiem może być tylko ten, co się urodził na naszej Ziemi... Dobrze, przypuśćmy, że się zagalopowałem. Człowiek może urodzić się na Księżycu, a jego przodkowie niewątpliwie musieliby być ludźmi. W przypadku jednak oskarżonego nie wchodzi w grę ani jedno, ani drugie...

Mówiłem tak jeszcze pół godziny, a potem zakończyłem apelem do sprawiedliwości sądu, który nie dopuści do skazania kogoś, kto w ogóle nie kwalifikuje się do osądzania.

— Oto istota, której potrzebna nasza pomoc, a nie zemsta!

Tymi słowami zakończyłem swoje wystąpienie. Powstał szum, który sędzia z trudem Uciszył. Następnie rozległ się głos sędziego.

— Rozprawa zostaje odroczone do czasu wydania opinii biegłych.

Bomba wybuchła w pierwszych popołudniówkach. Natychmiast rozszalał się mój tele-fon. Z początku podnosiłem słuchawkę, ale później zrezygnowałem z rozmów z nieznanymi doradcami. Dzwoniący albo gratulowali mi odwagi, z jaką wykazałem przed sądem, że mamy gościa z kosmosu, albo dawali mi adresy klinik i domów wariatów, do których miałbym się zwrócić o pomoc. Na pocieszenie dowiedziałem się, że ani sędzia, ani prokurator nie mieli lepiej.

W wieczornych wydaniach gazet pojawiły się już pierwsze opinie specjalistów. Oczywiście szeroko dyskutowano, czy na innych planetach istnieje życie podobne do naszego. W zasadzie wszyscy się zgadzali, że jest to możliwe. Ale gdy trzeba było te istoty umieścić w porządku zoologicznym, powstawał zamęt. Czy to są ludzie? Jeden z autorów artykułu twierdził, że są dwie możliwości. Istota taka może być człowiekiem tylko w znaczeniu biologicznym, ale nie prawnym. Czy moglibyśmy uważać za człowieka w sensie prawnym jakiegoś superinteligentnego polipa? Oczywiście nie, konkluduje autor

rozprawy, dodając, że nie uznalibyśmy za człowieka także istoty, która by biologicznie była jednaka z człowiekiem, a miała psychikę konia. Czytałem też artykuły, w których stawiano pytanie, czy człowiek może się urodzić na jakimkolwiek innym ciele niebieskim bez względu na postać psychiczną i fizyczną, czy też pojęcie „człowiek” jest specjalnością i przywilejem Ziemi. W jednym z artykułów trafiłem na tezę, że należałoby wprowadzić średniowieczne prawo, stanowiące, że istoty, które przybyły spoza Ziemi, należy sądzić według praw obowiązujących na ich planetach. A niektórzy proponowali wprowadzić kodeks międzyświatowy, który dokładnie określałby status kosmitów na Ziemi.

Ktoś wysunął przypuszczenie i postawił pytanie: co by się stało, gdyby nam się w jakiś sposób udało z małp wywieść taką mutację, że w efekcie młode wyglądałoby jak człowiek. Czy byłaby to małpa człekokształtna? Człowiek ze wszystkimi prawami i obowiązkami czy zwierzę, o które troszczy się zarząd ogrodu zoologicznego lub strażnik leśny? Oczywiście takiego mutanta nie można nazwać człowiekiem, odpowiedział autor, gdyż nie pochodzi od człowieka, lecz od małpy. Jest całkowicie jasne, konkluduje autor artykułu, że przy określaniu gatunku, decyduje pochodzenie.

Następnego dnia ktoś mu odpowiedział, że wszystkie stworzenia na Ziemi wywodzą się od ameby, i gdyby przyjąć, że decyduje pochodzenie, nie byłoby na Ziemi człowieka. Byli i tacy, co przypomnieli, że na Ziemi istnieje cały szereg bardzo inteligentnych zwierząt, jak na przykład delfiny, a przecież nikt ich nie nazywa ludźmi ani nie przydziela im żadnego szczególnego miejsca w przyrodzie. W przeciwnym razie sądy byłyby przeciążone procesami przeciw delfinom, wytaczanymi przez rybaków, o wykradanie połowów z sieci.

Niestety tego dnia nie otwierałem radia ani telewizora, tak że ominęło mnie kilka pogadanek i konferencji okrągłego stołu. Ale i tego, co przeczytałem w gazetach, było dosyć.

Wkrótce wypowiedzieli się też teolodzy. Dla nich rzecz była dość prosta. Człowiek pochodzi od Adama i Ewy. Wobec tego we wszechświecie można napotkać ludzi, jedynie jeśli są to potomkowie Adama i Ewy osiedleni na jakimś ciele niebieskim. Szybko jednak pojawiła się inna grupa teologów, która zdecydowanie zagłuszyła pierwszą. Ich zdaniem cały epizod z Adamem i Ewą był wyjątkowym

przypadkiem na Ziemi, jednym z miliona możliwych. Bóg, który jest oczywiście wszechmocny, mógł według woli stwarzać ludzi i na innych planetach. Nie musiał przy tym posługiwać się gliną jako tworzywem. Żeby człowiek był człowiekiem, musi mieć ciało, rozum, wolną wolę i nieśmiertelną duszę, mówili teolodzy.

Ale na tym nie koniec. Pojawiła się grupa podpisująca się „Młodzi teologowie”. Ta znów najostrzej postawiła problem grzechu pierworodnego i odkupienia. Najpierw zapytali, czy może istnieć człowiek bez grzechu pierworodnego. Oczywiście nie może, bo gdyby mógł, to Bóg by nie dopuścił do grzechu pierworodnego. Jedną z istotnych cech człowieka jest to, że wcześniej czy później musi umrzeć, a powiedziane jest w Piśmie Świętym, że człowiek stał się śmiertelny właśnie przez grzech pierworodny. Prócz tego żaden człowiek nie może być zbawiony właśnie na skutek grzechu pierworodnego. Aby zbawić człowieka, właściwie jego duszę, Bóg musiał poświęcić własnego syna. W ten sposób grzech został odkupiony. Ale jeśli tak jest, Bóg na każdej planecie, gdzie istnieją ludzie, musiałby ofiarować syna, w co trudno uwierzyć, bo jest tylko jeden Syn Boży.

Odezwały się także inne religie. Wyznawcy islamu poważnie wątpili, by człowiek mógł być człowiekiem bez świętych ksiąg, które Bóg objawił przez swych apostołów. Już pierwszy człowiek, Adam, jest autorem świętej księgi Tewrat, a potem powstały inne, jak Indzil i Koran. Nie ma żadnej gwarancji, że powtarzało się to we wszechświecie. Prócz tego w Koranie nigdzie nie ma wzmianki o ludziach na innych planetach. Jedyne istoty nie z tej Ziemi to aniołowie i olbrzymy, a mówi się też o szatanie, ale ani jedni, ani drudzy, ani trzeci nie mogą być zaliczeni do ludzi.

Bramini i buddyści okazali się bardziej elastyczni. Wszystko zależy, jaki to duch i jakie ciało. Reinkarnacja nie musi być ograniczona do jednej planety. I tak wszystkie istoty są je-dnakowe, to jest mają tę samą duszę, a ciało jest tylko łuską, w której dusza działa w świecie materialnym. Cytowali przy tym dokładnie „Upaniszady” i „Bhagawadgitę”, niektórych chiń-skich filozofów, znalazło się nawet kilka cytatów z tybetańskiej „Księgi zmarłych”.

Były też głosy twierdzące, że w ogóle jest nieważne, czy ktoś pochodzi z Ziemi, czy z innej planety, gdyż rodzaj ludzki i tak wywodzi się od przybyszów z kosmosu.

Te publiczne dysputy były mi na rękę. Nie budziły obaw i spokojnie czekałem na wzno-wienie rozprawy. Przez ten czas dyskutanci obrzucali się epitetami w imię dobra nauki lub religii. Do tego przeważało zdanie, że istoty z kosmosu nie mogą być ludźmi, co oczywiście musiało mieć wpływ na ławników. Po kilku dniach ponownie odwiedziłem swego klienta.

Był w dobrym humorze. Zdobył bowiem zaufanie dużej części ludzkości. Chciałem mu przerwać, ale niezmordowanie mówił o tym, jak świetnie go wyciągnąłem i że już wcale nie boi się o wynik procesu. Jeszcze mi dziękował, że naprowadziłem go na dobry pomysł, ale w końcu zamilkł, gdy energicznie poprosiłem go, by wreszcie przerwał.

— Proszę już przestać o tym mówić. Wszystko to niewiele pomoże, prócz jednego. Wspomniał pan kilkakrotnie, że ukrył swą poduszkę ratunkową, zanim znalazł się pan wśród ludzi. Czy może nam pan pokazać ten przedmiot? Nasi specjaliści łatwo stwierdzą, czy jest pochodzenia ziemskiego czy pozaziemskiego.

Spodziewałem się, że mój klient odrzuci propozycję, gdyż bardzo szybko jego obrona została by zdemaskowana. Nie wiedziałem tylko, jaką znajdzie wymówkę. Dlatego jego odpowiedź wprawiała mnie w zdumienie.

— Właśnie chciałem to zaproponować. Już wspomniałem, że podsunął mi pan wspa-niały pomysł. Jedynie ta poduszka może mi pomóc wrócić do swoich. Przypuśćmy, że ci wasi specjaliści popełnią jakiś błąd w czasie badań, a wtedy przepadłem.

Pochwaliłem go w duchu za to zaiste zręczne wybrnięcie z sytuacji. Ostatecznie z takim wnioskiem nie mógłbym wystąpić przed sądem, bo gdyby poduszka się nie znalazła lub gdyby stwierdzono, że jest to najzwyklejszy ziemski przedmiot, cała obrona by runęła. Moje rozmyślenia przerwał klient:

— Wszystko dobrze obmyśliłem. Wizję można łatwo przeprowadzić, ale postawiłbym kilka warunków.

Oho, a jednak! Warunki. Będą pewnie takie, że nikt ich nie spełni.

— Chciałbym tylko, żeby byli obecni: pan jako mój jedyny przyjaciel, sędzia, żeby widział, że mówiłem prawdę, i prokurator, niech się, biedak, czegoś nauczy. Jeśli choć jeden z was nie przyjdzie, nic nie pokażę.

Teraz ja się znalazłem w kłopotliwej sytuacji. Ostrzegłem go, że

źle się to może dla nie-go skończyć, jeśli specjaliści nie będą pewni, że jego poduszka jest pochodzenia pozaziemskiego. On zaś był zachwycony swoim pomysłem i rzekł po prostu:

— Proszę się nie martwić. Jeśli wszystko przebiegnie właściwie, prokurator będzie całkowicie przekonany, że moje informacje są prawdziwe.

* * *

Zapoznałem sędziego z propozycją klienta. Przystał natychmiast, a gdy wspomniałem, że oskarżony domaga się, aby był obecny także prokurator, był wprost zachwycony.

— Nieźle, nieźle... najlepiej, gdyby byli obecni wszyscy, których to dotyczy. Przynajmniej od razu z tym skończymy. Gdy tylko nasi specjaliści ustalą, co to za przedmiot, zaraz wydamy wyrok, a przy okazji zamkniemy usta wszystkim tym, co robią tyle szumu w gazetach, radiu i telewizji. Szczerze mi żal, że nie zdobędzie pan sławy.

* * *

Ekspedycja wyruszyła dwoma samochodami. W jednym siedział oskarżony i dwaj policjanci, a w drugim sędzia, prokurator i ja. Razem z kierowcami było nas ośmiu.

Jechaliśmy według wskazówek oskarżonego. Opuściliśmy miasto, minęliśmy klub wioślarski (ten, w którym uzupełnił garderobę), a potem skręciliśmy w lewo na leśną ścieżkę. Nagle ścieżka urwała się, musieliśmy więc iść pieszo.

Po kilku minutach znaleźliśmy się pod jakąś pieczarą z bardzo niskim wejściem; żeby do niej wejść, trzeba by się czołgać po błocie. Kiedy rozmyślałem, jaki byłem głupi, że nie włożyłem starego ubrania, odezwał się prokurator:

— Aha, próba ucieczki! Oskarżony zamierza się wśliznąć po błocie do pieczary, w której jest na pewno jeszcze jeden otwór. I podczas gdy my byśmy czekali, aż wróci ze swoim sprzętem, on już byłby daleko. A ja wam mówię...

— Mam — przerwał mu oskarżony, który stał obok drzewa na wprost, pieczary. — Teraz prosiłbym wszystkich o rozpięcie płaszczy.

Chociaż zdziwiło mnie to żądanie, natychmiast go usłuchałem.

Ale sędzia i prokurator jakby się ociągali.

— Rozepnijcie tylko płaszcze — rzekł oskarżony — inaczej nic z tego nie będzie. To mój warunek.

Sędzia trochę zwlekał, a potem usłuchał i on.

— Zresztą dlaczego miałbym nie rozpiąć? Nie widzę w tym żadnego zagrożenia.

Prokurator z niechęcią poszedł w jego ślady, cały czas zerkając podejrzliwie w stronę pieczary.

— Świetnie. — Oskarżony rozpogodził się. — Zaraz wam udowodnię, że mówiłem prawdę.

Po tych słowach rozchylił kilka gałązek i ujrzeliśmy w drzewie dziupłę. Sięgnął do niej i wyciągnął coś, co bardzo przypominało gumową poduszkę z dwoma paskami, które mogły-by służyć do zakładania na ramiona. Jedyne, czym się ten przyrząd różnił od innych nadmuchiwanych poduszek, to wielki lejek przymocowany z boku i wykonany chyba z metalu.

— Oto wszystko. A nosi się to tak.

Oskarżony ułożył poduszkę, jakby miał na niej usiąść, i usztywnił ją paskami. Prokurator zrobił krok, chcąc do niego podejść, ale kiedy się przekonał, że z każdej strony stoją przy oskarżonym policjanci, zmienił zamiar.

— Nie myślcie, że na tej poduszce można polecieć — zaczął tłumaczyć mój klient. — Ona umożliwia zdematerializowanie materii, to znaczy ciała, a potem znów materializuje się na z góry określonym miejscu.

— Bardzo ciekawe — pochwalił prokurator z nie ukrywanym sarkazmem. — Byłbym zaszczycony, gdybym mógł zobaczyć tę poduszkę w akcji. Obawiam się tylko, czy nie pojawią się jakieś trudności techniczne, które to uniemożliwią.

Oskarżony jakby nie zauważył szyderstwa w głosie prokuratora. Całą uwagę skupił na złotej dewizce, wiszącej u brzucha prokuratora.

— Czy byłby pan tak łaskaw i podał mi na chwilę swój zegarek z dewizką? Muszę coś sprawdzić, zanim przekażę urządzenie waszym specjalistom.

Prokurator zachnął się, ale się opanował. Na wszelki wypadek zwrócił uwagę strażnikom, by dobrze uważali na aresztowanego, a potem odpiął od kamizelki dewizkę, wyjął zegarek i podał oskarżonemu.

— Bardzo ciekaw, co teraz będzie — rzekł mrugając do pozostałych, jakby powie-dział dobry dowcip.

— Mówiłem już — zaczął mój klient, ważąc na dłoni zegarek z dewizką — że cały pro-blem polega na znalezieniu paliwa do tego urządzenia. Ale oto je mam.

Powiedziawszy to, wrzucił zegarek wraz z dewizką do lejka. Natychmiast przyskoczył do niego prokurator, chcąc oczywiście uratować swój zegarek. Ale aresztowany objął go jedną ręką, a drugą przesunął coś pod lejkiem. W tym momencie tak błysnęło, że musieliśmy zamknąć oczy, i zaraz poczułem silny podmuch. Zostałem odrzucony o kilka kroków i z kimś się zderzyłem. Kiedy otworzyłem oczy, stwierdziłem, że wpadłem na strażnika, który się wła-śnie podnosił. Inni nie wyszli z tego lepiej. Na próżno jednak rozglądaliśmy się za oskarżo-nym. Jakby go ziemia pochłoneła. I jeszcze kogoś brakowało: prokuratora.

* * *

Pięć dni później była niedziela. Piękne przedpołudnie wywabiło z domu wielu spacero-wiczów, a wśród nich doktora Abrahama i mnie. Doktor Abraham zaprosił mnie na spacer, bo chciał, abym mu opowiedział, jak się skończyła historia z rzekomym kosmitą. Uzgodniliśmy bowiem, po tajemniczym zniknięciu oskarżonego i prokuratora, że absolutnie nie dopuścimy do rozpowszechnienia tej wiadomości. Nie zjawiałem się więc u doktora Abrahama, aby nie dać się sprowokować do zdradzenia tajemnicy. On jednak zaprosił mnie na spacer i było jasne, czego ode mnie oczekuje. Prócz tego z różnych uwag wywnioskowałem, że sam też słyszał coś niecoś.

— Czy nie sądzi pan, panie kolego, że pora na jakieś wyjaśnienia?

— Właśnie panu nie wolno mi nic powiedzieć — odrzekłem, czując, że jednak wszy-stko mu powiem — ale w końcu w pewien sposób uczestniczył pan w całej sprawie.

— Bardzo słusznie, młody człowieku — pochwalił mnie doktor Abraham. — A więc słucham!

W kilku słowach opowiedziałem, jak zniknął oskarżony i prokurator i jak teraz sami nie wiemy, na czym stoimy. Oczywiście nie omieszkałem odwołać się do jego dyskrecji.

Abraham z początku słuchał z wielkim, zainteresowaniem, a potem twarz mu poczerwieniała, jakby go trafiła apopleksja.

— I pan mi tu! Myślałem, że mam w panu przyjaciela, a nie przeciwnika, który mnie oszukuje tanim kłamstwem!

Stałem zdumiony. Oto doktor Abraham, który mi włożył w usta całą obronę, a ja ją przyjąłem, teraz nie wierzy, że miał rację. Próbowałem go uspokoić.

— Ależ, doktorze, mówię panu szczerą prawdę! Przecież i pan wie, że oskarżonego nie ma w więzieniu.

— Tak, bo wam uciekł i teraz wykręacie się nieprawdopodobnymi historiami.

— A jak w takim razie wytłumaczy pan zniknięcie prokuratora? — rzuciłem swój naj-silniejszy atut.

— Powiedzieli mi, że gdzieś nagle wyjechał. Sprawy rodzinne. Przyzna pan, że może się to zdarzyć każdemu, a więc i prokuratorowi, i nie potrzebna mu do tego pomoc żadnego kosmity. Po prostu nie rozumiem, dlaczego, nie chcecie ujawnić prawdy. Rzecz musiała się skończyć tak czy owak, to jasne, ale absolutnie nie w sposób, jaki mi pan raczył przedstawić. A oto i on!

Właśnie wyszliśmy z lasu na małą łączkę. Na środku tej łączki zataczał się jakiś czło-wiek. Gdy nas zauważył, zatrzymał się na chwilę, a potem wrzasnął dziko i popędził w naszą stronę. Spostrzegłem natychmiast, że ma poszarpane i wybrudzone ubranie, a gdy się zbliżył, zobaczyłem, że jest nie ogolony. Dziwiłem się w duchu bystremu oku doktora Abrahama, bo sam potrzebowałem dobrych piętnastu sekund, by w tej nędznej postaci poznać prokuratora.

— A więc dalej obstaje pan przy twierdzeniu, że tego człowieka porwał jakiś kosmita? — zapytał mnie doktor Abraham triumfująco.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale właśnie prokurator już do nas dobiegł.

— Chwała Bogu, nareszcie prawdziwi ludzie!

— Zawsze byłem w porządku — rzeki doktor Abraham wyraźnie fałszywie tłumacząc sobie słowa prokuratora.

— Widzę pana i widzę tego człowieka — rzekł zwracając się do mnie.— Teraz nie mam żadnych wątpliwości Jestem znów na Ziemi. Bo chyba nie porwali i was?

Prokurator drżał w spazmatycznym płaczu, a doktor Abraham

kręcił głową nie dowie-rzając. Patrzył to na prokuratora, który w tym momencie przypominał raczej włóczęgę niż przedstawiciela władzy i porządku publicznego, to na mnie. Ja tymczasem podszedłem do człowieka, który nie wiedział, co począc ze szczęścia.

— Niechże się pan uspokoi — rzekłem. — Już wszystko w porządku. Jest pan znów między swymi. Najlepiej będzie, jeśli pana odprowadzę do domu.

Ale prokurator mnie nie słuchał. Rzucił się na ziemię i całował trawę i korzenie, gęsto oblewając je łzami. Kiedy się trochę uspokoił, złapał doktora Abrahama za rękę i zaczął opo-wiadać:

— Wyobraźcie sobie, porwał mnie na swoją planetę i zostawił na ulicy jakiegoś miasta. Przechodnie patrzyli na mnie dziwnie i potracali. Zrozumiałem, że nie przeszkadzało im moje ubranie, tylko to, że nie miałem oznaki na piersiach i plecach, czegoś w rodzaju numeru. Przeganiali mnie z piętra na piętro, bo musicie wiedzieć, że tam ulice są jedna nad drugą. Ich słońce jest chłodniejsze od naszego, więc było mi zimno. Ściągnąłem zasłonę z okna, żeby się zagrzać, byłem głodny i ukradłem jakieś naczynie z czymś, co się dało jeść. Później dowie-działem się, że był to nawóz do kwiatów. Padłem na kolana przed jakąś kobietą, błagając, by mi pomogła. Ale ona umknęła, wołając głośno pomocy. Powstało zamieszanie, a ja uciekłem. Kiedy zostałem sam, zacząłem wyć z rozpacz; wtedy mnie zabrali i zamknęli. W końcu przyszedł ten, którego mieliśmy sądzić, i chyba wyjaśnił moim gnębicielom, kim jestem i skąd pochodzę. Wreszcie posadził mnie na poduszce i sam siadł przy mnie. Nagle urzeczywi-stniłem się tutaj. Pomyślcie tylko, jeszcze pół godziny temu byłem na ich policji. Myślę, że czym prędzej trzeba opracować kodeks ochrony zbłąkanych astronautów...

SZLACHETNIE URODZONY (*Plemenito porijeklo*)

— Jesteśmy na miejscu!

Spojrzałem na kalendarz. Tak, 1647, dwudziesty siódmy marca.

W pamięci jeszcze raz wszystko obliczyłem. Okolica wydała mi się zupełnie nie znana i mógłbym przysiąc przed każdym sądem, że nigdy tu nie byłem. A jednak było to miejsce, gdzie się wychowałem, mój rodzinny piękny Beckton na przedmieściu Londynu, a nie żadne pustkowie ani skupisko smrodliwych moczarów. Staliśmy na szczycie pagórka i za nic na świecie bym nie powie-dział, że jest to środek przestrzennego podwórza i że na miejscu tego kolczastego krzaka stoi garaż. W dali widziałem kilka domów, z których unosił się dym. W tamtą stronę wił się poto-czek w niczym nie przypominający ulicy King George.

Każde zło jednak ma w sobie coś dobrego. Ponieważ byliśmy daleko od zamieszkałych miejsc, nasze przybycie nie zwróciło niczyjej uwagi, a to było nam na rękę.

Wysiadłem z wehikułu czasu. Nigdzie żywej duszy, ale zdawałem sobie sprawę, że nie uda mi się przybyć do Londynu nie zauważony. Nim jednak to się stanie, jakoś przystosuję się do okolicy. Przebyliśmy ponad trzy stulecia, żeby się cofnąć do roku 1647, a ludzie w tym czasie też chodzili jakoś ubrani. To prawda, że nie wzięliśmy ze sobą kostiumów z epoki, ale jakoś przystosujemy się.

Przechadzałem się więc, pełen dobrych nadziei, wokół naszego wehikułu i rozmyśla-łem, którą wybrać drogę do Londynu. Swego towarzysza zostawiłem w pojeździe, zakładając, że jeden człowiek łatwiej przebije się do celu nie zauważony.

Wydało mi się, że najłatwiejsza droga prowadzi między moczarami, dość sucha aż do rzeki. Potem muszę znaleźć albo łódkę, albo most, żeby dotrzeć do naszego notariusza Angu-sa McGregora. Tak oto, bez pośpiechu (przed sobą miałem raptem sześć mil, a czasu było dosyć) doszedłem do końca moczarów, ale tu droga urywała się, a przede mną rozpościerały się nowe moczary. Słońce już dopiekało, więc ukryłem się w cieniu drzewa, które tu akurat rosło... Usłyszałem za sobą kroki. Gdy się obejrzałem, by zobaczyć, kto to, rozległ się głęboki głos:

— Niech mnie diabeł porwie, jeśli to nie nasz Ronald!

Tak, Ronald to ja, ale nie był to wystarczający powód, żeby mnie byle włóczęga z prze-szłości wołał po imieniu. Prócz tego skąd ten człowiek mógł w ogóle mnie znać?

— Jak się masz — burknąłem nie zachwycony.

Dziadyga, który się do mnie zwrócił, wyglądał dość nędznie w

swoich łachmanach, ale byłem tu obcy, więc musiałem wobec każdego być grzeczny. Prócz tego chciałem dowiedzieć się, jak to jest, że on mnie zna, a ja jego nie.

— Rozumiem twoją niechęć. Ostatnio wszystko ci źle szło... nawet z Dolly. Nie udawaj obcego. Wiesz, jak to jest u nas na wsi. Wszyscy wszystko wiedzą...

Hm, wygląda na to — oczywiście w wyobraźni tego człowieka — że narobiłem tu niemało głupstw. Postanowiłem dowiedzieć się o sobie jak najwięcej.

— Niezbyt miło to słyszeć. Chciałbym wiedzieć... — Trochę się zaplątałem. Właściwie co bym chciał wiedzieć? Oczywiście kim jest owa Dolly. Ale wtedy bym wyszedł na głupka, który nic nie pamięta. Nie mogłem go też zapytać wprost: powiedzcie mi, człowieku, skąd się znamy? o coś jednak musiałem zapytać, więc skończyłem zdanie następująco: — Jak się właściwie nazywasz? Wiesz, mam tylu znajomych, że mogę pomylić osoby.

— Rozumiem, to się zdarza, zwłaszcza teraz, po tylu zmianach politycznych. Jestem John Silver, naczelnik Becktonu. Chyba sobie przypominasz, jak mi dawałeś te... czekaj, jak one... no, papierosy. Paliliśmy, a ty twierdziłeś, że fajka jest obrzydliwa. Widzisz, jak dobrze pamiętam? Mógłbyś mi dać teraz jednego? Navy Cut. Widzisz, nie zapomniałem nawet, jak się nazywają.

Johna Silvera doprawdy nigdy w życiu nie widziałem, a on twierdzi, że częstowałem go papierosami. I wie, jak się nazywają! Wyjąłem z kieszeni paczkę i poczęstowałem go. Uśmiechnął się bezradnie.

— Nie myślałem, że będę potrzebował ognia, i poszedłem bez hubki i krzesiwa. A może ty masz swoją zapalniczkę?

A więc jeszcze i to! Spodziewałem się, że przy spotkaniu z ludźmi z siedemnastego wieku to oni będą zdziwieni, a teraz widzę, że jest odwrotnie.

Mężczyzna z wyraźnym zadowoleniem wypuszczał dym. Postanowiłem sprowadzić rozmowę na takie tory, żeby wyjaśnić dziwną sytuację.

— Johnie, czy moglibyście mi powiedzieć, jak najłatwiej dostać się do Londynu?

— Czyżbyś zapomniał? A tak wyraźnie pokazałem ci drogę. Musisz wrócić na koniec tych mokradeł i potem pójść wschodnim

brzegiem. Dojdiesz wprost do mostu. Może znów szukasz tego notariusza McGregora? Chyba nie zamierzasz się wszystkiego wyprzeć? Byłoby nieładnie...

Można zwariować! On wie nawet o McGregorze. Będzie najlepiej, jak nie wspomnę, o co chodzi, bo i tak byłoby to daremne. Podziękowałem Johnowi Silverowi za uprzejmość i długim krokiem ruszyłem z powrotem, by wschodnim brzegiem mokradeł dotrzeć do mostu.

Z lewej strony zobaczyłem domy. Od mojej strony był płot, a za nim podwórzec ze świniami, kurami, kotami i jednym jagnięciem. Przecisnąłem się między sztachetami i skierowałem do największego budynku, gdzie, jak przypuszczałem, mieszka gospodarz. Nie zrobiłem nawet dziesięciu kroków, a cały podwórzec jakby się sprzysiągł przeciw mnie. Kury rozbiegły się gdacząc niemiłosiernie, jagnię gapiło się na mnie, a świnie pobiegły gdzieś w prawo, za mniejszy budynek. W tej samej chwili poczułem silne uderzenie w dolną część pleców, a za moment leżałem na ziemi jak długi. Coś przeze mnie przebiegło, a gdy podniosłem głowę, ujrzałem jeszcze zadek: był to koziół, który zniknął za stajnią.

Dźwignąłem się, a wtedy spadł na mnie grad niemiłych słów:

— Nędzniku, jeszcze masz czelność pokazywać się na oczy! Zniewoliłeś dziewczynę i uważasz, że wszystko w porządku, co? Nie ujdzie ci to na sucho! Jest jeszcze w Anglii sprawiedliwość!

— Piękna pani — plątałem się — nie wiem, czy kiedykolwiek miałem honor panią poznać...

Wydało mi się, że trafiłem we właściwy ton, bo moje słowa przeciął głośny policzek. Kobieta obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym nienawiści, ale nagle zmieniła wyraz twarzy. Spojrzała na mnie, jak patrzy rodzina na umierającego wujka, i szepnęła zatrwożona:

— Ronaldzie, uciekaj co sił w nogach! Bracia i ojciec już ładują strzelby.

— Dziękuję, piękna pani — zawołałem i popędziłem ku ogrodzeniu. Gdy przeciskałem się przez sztachety, wypaliła pierwsza strzelba. Chybili. Prasnęło jeszcze kilka strzałów, ale ja już zniknąłem w krzakach. Strzelanina i tak nie była gęsta, w duchu widziałem ojca i syna, jak ze złością napętlają lufy prochem, jak wbijają ołowiane kule w otwór strzelby i przybijają pobończykiem.

Biegłem z całych sił przez kwadrans, aż wpadłem do innej

zagrody. Tu nie przywitał mnie koziół ani zawiedziona dziewczyna, tylko gospodarz, który nie zdziwił się, że mnie w ogóle zobaczył, ale że mnie widzi znowu.

— Tak, John Silver mówił mi, że pan jest znów tutaj. Zapewne i teraz potrzebuje pan konia, żeby dostać się do Londynu. — Spojrzałem na niego z osłupieniem i przytaknąłem. — A więc warunki jak wtedy. Konia zwróci mi pan przed wieczorem i zapłaci szylinga. Tyle o interesach. A teraz prywatnie. Chciałem uprzedzić pana, że jestem obecnie szanowanym członkiem rady independenckiej. To żeby nie przyszło panu na myśl podejmować przeciwko mnie żadnych kroków.

— Ani mi się śni coś takiego.

Daremnie wysiłałem się, by zgadnąć, z jakiego powodu miałbym występować przeciwko temu człowiekowi, który oczywiście nigdy mi nic nie zawinił. Te rozmyślenia przerwał mi słowami:

— Bardzo to rozsądnie z pana strony. Co było, to było. Ja też nie będę robił problemu z pieca kuchennego i zniszczonych sprzętów. Widzi pan więc, że ani trochę się nie boję, nawet konia darmo nie dam, ale zapłaci pan tak samo jak za pierwszym razem. Szylinga dziennie. Jasne? — Mężczyzna wyciągnął rękę, jakby miał dobić targu, i mruknął; — Gdyby pan czego potrzebował, proszę się zwrócić do starego Sidneya Horna... A teraz chodźmy do mnie po konia. Zapłata oczywiście z góry.

Zgodziłem się, ale pojęcia nie miałem, skąd wziąć szylinga. Z powodu reformy walutowej z drobnych zostały nam tylko peny. Pomyślałem o tym, że nasz pieniądz, choć także bity, musi się znacznie różnić od pieniędzy z XVII wieku, i na wszelki wypadek wziąłem kilka złoty koron, a złoto jest złotem bez względu na to, kiedy było bite. Żeby tylko wiedział, co on miał na myśli, mówiąc: warunki jak poprzednio. Chyba nie będzie twierdził, że już raz brałem od niego konia?

Dzięki koniowi i dobrym wskazówkom wkrótce znalazłem się na moście wiodącym przez Tamizę. Bramy miejskie przejechałem bez trudu, choć muszę przyznać, że nie czułem się pewnie w pobliżu osób służbowych. Co władza to władza, choćby miała i ze trzy stulecia.

W Londynie przeraził mnie fetor na ulicach. Zresztą to cud, że było tak, jak było, wiedziałem bowiem, jak gospodynie wylewają nocniki przez okno prosto na ulicę. Przechodzień był szczęśliwy, jeśli

nie spadło mu nic na głowę. Dziwne, człowiek z halabardą, który najwyraźniej był policjantem, przyglądał się temu obojętnie.

Zauważyłem, że wszyscy ludzie na ulicy byli odziani w łachmany i zachowywali się jak żebracy, a kiedy ujrzałem dziewczynę przyzwoicie ubraną, byłem przekonany, że jest szlachcianką. Później dowiedziałem się, że to dziewczyna lekkich obyczajów.

W końcu dotarłem na Richmond Street. Zaznaczam, że o nazwy ulic musiałem się dopytywać, a o numerach domów nawet szkoda mówić, choć każdy dom oczywiście miał swą nazwę, co zachowało się do dzisiaj. Z nazwą wiąże się taka historia:

Dom nazywa się dajmy na to Gordon House. Ale żeby nikt nie myślał, że tak nazywa się właściciel. Nic podobnego. Gordon to najwyżej włóczęga, którego znaleźli zamarznętego gdzieś na łące, gdzie dopiero miał być zbudowany dom, w najlepszym razie może tak nazywał się właściciel łąki lub budowniczy domu, ale najczęściej Gordon to imię robotnika, który spadł z dachu przy świętowaniu stawiania wiechy.

Niestety nie miałem pojęcia, jak się nazywał dom tego notariusza. Wiedziałem tylko, że notariusz mieszkał na Richmond Street, że żył w drugiej połowie XVII wieku i że u niego znajduje się dowód naszego szlachectwa.

Zapytałem pierwszego przechodnia, czy zna jakiegoś McGregora.

Odziwo, zaraz mnie podprowadził trzy domy dalej i pokazał szerokie wejście.

— Tutaj — powiedział i znikł.

Był to parterowy dom zbudowany z bali, z dachem słomianym, i dość stary, jedynie komin był nowy. Miałem nadzieję, że łatwo znajdę notariusza McGregora i jego kancelarię.

Gdy wszedłem, zauważyłem, że budynek przy ulicy to część większej całości. W podwórzu obok nieodłącznego prosiaka i kur stał powóz i dalej zupełnie nowy budynek, dużo obszerniejszy od frontowego. Na prawo i na lewo od budynku były zabudowania gospodar-skie; zrozumiałem, że właściciel utrzymuje się nie tylko ze swojej pracy notarialnej.

Gdy wszedłem na podwórze, zaraz podbiegł do mnie jakiś człowieczek z zakrwawioną siekierą w ręce. Cofnąłem się odruchowo, ale człowieczek uspokoił mnie, że nie ma powodu do obaw, bo jest rzeźnikiem i nigdy nie śmiałyby uczynić nic złego jego lordowskiej

mości. Odwróciłem się, by zobaczyć, do kogo mówi, ale człowieczek zaśmiał się:

— Jego lordowska mość jest tak samo zdumiony jak za pierwszym razem. Czy ma pan jeszcze mój głos w pudełku?

Nie wiedziałem, co o tym sądzić. I ten też mnie znał, a do tego jako „waszą lordowską mość”. A co z tym głosem w pudełku? Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej i powiedziałem, że nie pamiętam.

— Och, wasza lordowska mość jest człowiekiem światowym, wiele podróżuje, nie dziwię się, że nie przypomina sobie takiego drobiazgu. Chodzi o Syda i jego osła.

— Osła?

Człowieczek zaśpiewał prostą melodię z bardzo frywolnym tekstem.

— Wasza lordowska mość przypomina sobie? — zapytał. — Ta piosenka tak się podobiała, że powiedział pan, iż ją nagra, a potem przyniósł to pudełko, co mówi i śpiewa.

To, co usłyszałem, nie było pozbawione sensu. Najwyraźniej ktoś bardzo podobny do mnie nagrał ją na taśmę magnetofonową.

— Tak, tak — odezwałem się, aby coś powiedzieć — tak było. Ale czy uczyniłby pan tę grzeczność i powiedział mi, gdzie jest McGregor?

— Jak zwykle o tej porze, w swojej kancelarii. Proszę tylko pójść na górę.

Gdzie teraz na górę? Jeden budynek stał na pagórku, ale podobny był raczej do stajni niż do kancelarii notariusza. Ruszyłem niezdecydowanie, zerkając na człowieczka. Nie okazał się, że idę w niewłaściwym kierunku. Doszedłem do wejścia i właśnie chwyciłem za klamkę, gdy usłyszałem głos:

— Witaj, sir Ronaldzie, mógł pan jednak uprzedzić o wizycie.

Głos dobiegał z góry; w oknie pierwszego piętra pojawiła się głowa. Gdy zapytałem, czy mam przyjemność z notariuszem, oniemiał i cofnął się. Pobiegłem jednak na piętro i wszedłem w otwarte drzwi. Nie mogłem się mylić, gdyż na drzwiach widniał gotyckimi literami napis: Kancelaria notariusza królewskiego Angusa McGregora. Słowo „królewskiego” było lekko przekrzywione, ale mógł to być skutek pęknięcia w podstawie. Było oczywiste, że notariusz zabezpieczył się, gdyby ktoś podniósł polityczny problem,

dlaczego „królewski”. Wyraźnie i na tej tablicy odbił się znak czasu, kiedy to król traci władzę i jest tylko kwestią dni, żeby Anglia stała się republiką.

Nie miałem jednak czasu zastanawiać się nad sytuacją polityczną, gdyż wyszedł, mi naprzeciwko mężczyzna lat pięćdziesięciu w bardzo eleganckim i drogim odzieniu. Na głowie miał kapelusz z wielkimi skrzydłami, a w ręku laskę ze srebrną gałką. Wyglądał, jakby się wybierał na spacer.

— Jakież honor, wasza lordowska mość — skłonił się McGregor, gdyż rzeczywiście był to on, jak się później okazało. — Jakiej szczęśliwej okoliczności mogę zawdzięczać pańską wizytę?

Już kilkakrotnie postanowiłem niczemu się nie dziwić, ale teraz byłem zupełnie zaskoczony. Człowiek, który ani trochę nie wyglądał na naiwnego, sprawujący ważny urząd państwowy, bez przyczyny nie sypałby komplementami. A ten najwyraźniej brał mnie za prawdziwego lorda.

— Potrzebne mi pewne dane o mojej rodzinie. Już od trzynastu lat posiadamy szlachectwo, ale dokumenty zaginęły przed stu laty. Teraz mój starszy brat chciałby się ożenić, ale warunkiem jest posiadanie szlachectwa. Prócz tego chcielibyśmy mieć prawo zasiadania w Izbie Lordów, a to wszystko...

— Zaraz — przerwał mi McGregor. — Twierdzi pan, że wasz ród pochodzi z czasów Wilhelma Zdobywcy lub może Henryka II. Poza tym nie bardzo rozumiem stosunków w pańskiej rodzinie, ale to już nie moja sprawa. Jednak powinien pan wiedzieć, czy wasz ród wywodzi się z angielskiej czy y francuskiej linii.

Zrozumiałem, że postąpiłem niezbyt rozsądnie. Chciałem zagrać z McGregorem w otwarte karty, ale za dużo mówiłem. Postanowiłem to naprawić.

— Przepraszam, nie dość jasno się wyraziłem. Nie miałem na myśli czasów przed naszymi, to jest tymi, w których się znajdujemy, ale właśnie terażniejsze. Musi wziąć pan pod uwagę, że przybywam z czasów przyszłych o trzy i pół wieku.

— Jak się miewa pańska rodzina? Czy żyją, są zdrowi?

— Tak — odpowiedziałem nic nie pojmując.

— A czy czasem któreś z pańskich rodziców lub dziadków miało kłopoty z medykami? Powiedzmy, słyszało głosy, a nie widziało nikogo?

— To się zdarza codziennie nam wszystkim, zwłaszcza...

— Aha, jesteśmy w domu! Może byłoby lepiej zwrócić się do medyka, a ludzi takich jak notariusz królewski zostawić w spokoju?

McGregor brał mnie więc za niespełna rozumu. Trzeba było szybko zareagować, bo je-śli zawoła medyków, to przepadnę. Dość się naczytałem o tym, jak w owych czasach postępo-wano z wariatami.

— Wy żyjecie w czasach niewiedzy i prymitywizmu — zacząłem zdecydowanie. — Oczywiście nigdy nie słyszeliście o radiu ani o telefonie, ale oba te urządzenia umożliwiają słuchanie głosów bez oglądania ludzi.

— Proszę wybaczyć, ale teraz pan trochę przesadził. Niech wasza lordowska mość weźmie pod uwagę, że nauka jeszcze nigdy nie stała na tak wysokim poziomie, jak dzisiaj. Możemy zbliżyć planety na wyciągnięcie ręki, zegary chodzą z dokładnością do sekundy na dobę, armatami możemy teraz z dwustu kroków przebić ścianę grubości trzech stóp, a strzelać ze strzelby możemy trzy razy w ciągu minuty. A pan twierdzi, że żyjemy w niewiedzy!

Postanowiłem go pokonać. Jestem przecież dzieckiem dwudziestego wieku, muszę więc bronić honoru mego pokolenia.

Wyjąłem pudełko papierosów i poczęstowałem McGregora. Włożył papieros w usta, widząc, że robię to samo. Powiedziałem, by przypalił. Wziął krzesiwo i hubkę i zaczął krze-sać. Po trzecim uderzeniu hubka rozżarzyła się i przypalił papierosa. Chciał przypalić i mnie, ale wyjąłem zapalniczkę i zapaliłem. Następnie podałem zapalniczkę jemu.

— Proszę przyjrzeć się temu. Żaden z waszych mistrzów nie mógłby wykonać czegoś podobnego.

Notariusz był wyraźnie pod wrażeniem mej zapalniczki. Obracał ją na wszystkie strony, szczypał, potrząsał, stukał, ale ognia nie mógł wydobyć.

— Trzeba wziąć tak i łagodnie przycisnąć ten mały guziczek — wytłumaczyłem mu.

Notariusz zrobił, jak mówiłem, i po chwili trzymał płomień w ręku.

— Przyznaję, że czegoś takiego jeszcze nie widziałem i nie mogę sobie wyobrazić, jak to działa.

— Nie widział pan jeszcze wielu rzeczy. Na przykład tego. —

Wyjąłem z kieszeni mały pistolet wielostrzałowy. McGregor z wyraźnym zaciekawieniem wyciągnął rękę po pistolet, ale go powstrzymałem. — Chwileczkę, to nie jest do zabawy. Czy ma pan jakiś ciężki garnek o grubych ściankach? Chciałbym panu coś pokazać.

McGregor zniknął na moment, po czym wrócił niosąc ciężki kocioł z lanego żelaza.

— Czy ten jest dobry?

— Świetny. Proszę mi powiedzieć, czy mógłby pan go przestrzelić kulą z muszkietu?

— Wątpię — rzekł McGregor. — Jest to grube i ciężkie żelazo i można by je przebić tylko z armaty.

— Doskonale. Czy pozwoli pan, że zrobię w tym kotle niewielki otwór? — zapytałem wskazując na pistolet.

Notariusz zgodził się. Ustawiłem kocioł w otwartym oknie i stanąłem pod przeciwległą ścianą. Powoli wycelowałem i nacisnąłem spust. Trzask, i kocioł spadł z okna na podwórze. Notariusz popędził schodami w dół; gdy wrócił z kotłem, był zielony na twarzy.

— Przebity... — rzekł głuchym głosem i opadł na krzesło. Kiedy ochłonął, podjął: — Dobrze, przypuśćmy, że naprawdę przybył pan z dwudziestego wieku. Jak, to pańska sprawa, ale jeśli może pan zrobić to wszystko, co widziałem, to już się niczemu nie dziwię... A więc chciał pan kopię jakiegoś dyplomu czy dokumentu. Ja w tym nie mogę wiele pomóc, bo po-nad rok temu spłonął stary dom, w którym była moja kancelaria, ze wszystkimi aktami. Dłate-go nie mógł się pan zorientować, bo w miejsce starego domu zbudowałem nowy. Z kominem i szklanymi oknami.

— Może przypomina pan sobie, czy w ogóle istniał jakiś akt, który mógłby mnie zainteresować?

— Coś było, wiem na pewno, ale co robić, tylu ludzi mnie odwiedza i szuka pomocy, więc proszę mi nie mieć za złe, że nie wszystko pamiętam. Wiem tylko, że pan coś podpisywał, ale co to było, choćby mnie pan zabił, nie wiem. Ale skoro może pan podróżować w cza-sie, proszę cofnąć się ileś tam lat wstecz, aż do władcy, który nadał wam szlachectwo. Wtedy łatwo znajdzie pan wszystko, co zechce.

Ten pomysł wrócił mi humor. Słusznie, jeszcze nic nie jest stracone. Idę do wehikułu. Ale przypomniało mi się, że muszę spotkać

się z władcą nie tylko w odpowiednim czasie, ale i miejscu.

Pożegnałem McGregora, prosząc, by nic o mnie nie mówił. Uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Sądzi pan, że chciałbym skończyć w domu wariatów?

Jeszcze przed zachodem słońca pojechałem zwrócić konia. Mimo że gospodarz chciał mnie zatrzymać na wieczerzy, udałem się zaraz do wehikułu. Mój towarzysz już się niepokoił. Powiedziałem, że musimy cofnąć się jeszcze ze dwa lata, do czasu zanim wybuchł pożar. Nie wiem, czy zrozumiał, o czym mówię. Obaj byliśmy tak zmęczeni, że przespaliśmy do rana i dopiero potem ruszyliśmy w czas.

Kalendarz wskazywał 1 maja 1645.

— Wystarczy — rzekłem półgłosem i przesunąłem dźwignię i czas zatrzymał się. — Zobaczmy, czy jesteśmy w tym samym miejscu. — Spojrzałem przez okno.

— A gdzie moglibyśmy być? — zapytał ponuro mój towarzysz.

Tak, pytanie nie było pozbawione sensu. Mogę powiedzieć, że i okolica była nie zmieniła, to jest była taka jak dwa lata później.

Właściwie nasza sytuacja była bez porównania łatwiejsza niż wtedy, gdy po raz pierwszy wylądowaliśmy w tej okolicy. Zналиśmy teraz wielu ludzi, a i drogę, którą trzeba było się udać. Znałem główne osoby na tej drodze, McGregora, człowieka, który mi da dowód naszego szlachectwa. Teraz jego dom jeszcze się nie spalił, więc bez wahania wyszedłem i ruszyłem ku farmie po konia.

Właśnie dotarłem do miejsca, gdzie należało skrócić na brzeg mokradeł, gdy usłyszałem głos:

— Szuka pan kogoś?

Obejrzałem się. Był to, jeśli mnie wzrok nie mylił, ten naczelnik Becktonu, nazwiskiem, aha... John Silver. Trzymał w ręku dymiącą fajkę.

— Halo, naczelniku — przywitałem Silvera wesoło. — Widzę, że pan jeszcze pali fajkę.

— Przepraszam, ale nie przypominam sobie, że bym pana kiedykolwiek poznał.

Znów się zdumiałem. Poczestowałem przecież człowieka papierosem, przypaliłem mu, a on mi opowiadał o jakichś moich sprawkach, to jest dał do zrozumienia, że wie coś o jakiejś Dolly. Postanowiłem być ostrożny. Czasy niepewne — bunt przeciw królowi, kto wie, czego ten się boi. Zmieniłem ton.

— Może się pomyliłem, ale co za fantastyczne podobieństwo.

— Do kogo, jeśli wolno wiedzieć?

— Do naczelnika Johna Silvera — odpowiedziałem lekkomyślnie.

— Właśnie to mnie dziwi. Bo to ja w rzeczy samej jestem naczelnikiem Johnem Silverem.

Masz ci los! Znów popełniłem gafę. Próbowałem jeszcze jakoś wybrnąć.

— Ach, tak, widziałem pana na Wielkanoc przed kościołem. Takich twarzy się nie zapomina.

Silver zmieszał się. Chyba trafiłem w jego czułe miejsce. Rzeczywiście, odpowiedział pytaniem:

— Przed którym?

— Pod jakim wezwaniem? — udałem niewinnie, że nie wiem, o co chodzi.

— Nie to miałem na myśli. Katolickim czy prezbiteriańskim?

Teraz należało szybko zdecydować. Jeśli pytanie go zaskoczyło, to chyba był katolicki, bo dziś, po zwycięstwie rewolucji, chodzenie do kościoła prezbiteriańskiego nie było żadnym bohaterstwem. Ale w tym czasie gdy władał król katolik, który prześladował innowierców, sytuacja była inna. Dlatego odważnie odpowiedziałem:

— O ile pamiętam, katolickim.

Naczelnik zasepił się, a potem zaczął się zwierzać:

— Tak, katolickim... no, właśnie tak było. W tym czasie wielu katolików podawało się za prezbiterian i ludzie zaufani otrzymali zadanie ustalenia, kto jest kim. W ten sposób najłatwiej zrozumie pan moją obecność przed kościołem katolickim.

— Tak też przypuszczałem — odpowiedziałem, by-pozwolić mu wyjść z honorem. Potem sięgnąłem po papierosy i chciałem zapalić. Jego też poczęstowałem.

— Co to? — zapytał nie wiedząc, co zrobić z papierosem. — Hmm, to coś dobrego. Ładniej pachnie od fajki. Jak się to nazywa?

— Papieros — odpowiedziałem krótko.

Następnie przeszedłem do tematu, który mnie interesował najbardziej: którądy droga do Londynu. Otrzymałem wskazówki, częściowo tylko pomocne, bo nie wiedziałem, gdzie jest farma kulawego Blistera, gdzie trzeba skręcić na północ, a gdzie pole zmarłego proboszcza. Jednak usłyszałem, co najważniejsze, i

ruszyłem w drogę.

Zapamiętałem, że dojdę do długiego płotu, przez który muszę się przedostać. Jest to farma Denisa Kinga. Jeśli przejdę przez podwórze, zaoszczędzę co najmniej pół godziny drogi.

I oto rzeczywiście pojawił się przede mną płot z wystarczająco rozstawionymi sztachetami, żebym się mógł prześliznąć. Niewątpliwie była to farma Kinga. Właśnie zabrałem się do przechodzenia i górna połowa ciała była na powietrznym terytorium farmy, a reszta jeszcze na neutralnym terenie gminy, gdy usłyszałem kobiecy głos:

— A nie lepiej to poczekać do zmierzchu?

— Doprawdy nie wiem, czemu miałbym czekać do zmierzchu, kiedy mi się spieszy.

— Po ciemku nikt was nie zobaczy, a tak wszyscy będą widzieli, jak niesiecie kradzione kury.

Oho, to już bezczelność. Zdecydowałem bronić własnego honoru.

— Pani mnie wyraźnie bierze za kurokrada.

Chciałem jeszcze coś dodać, ale mi dziewczyna przerwała:

— Sądząc po odzieniu, nie powiedziałabym, że należycie do dobrego towarzystwa. Zre-szta, jeśli koniecznie chcecie coś ukraść, proszę. Niech nikt nie mówi, że Kingowie są skąpi i niegościnni.

Od słowa do słowa i zaprzyjaźniliśmy się. Potem zjawił się jakiś dryblas i przedstawił się jako brat pięknej dziewczyny, a za chwilę siedziałem już w gościnnym domu i rozmawiałem o najnowszych wiadomościach.

Wszystko bym jako tako rozumiał, ale nie tę dziewczynę, która jeszcze wczoraj mnie zaatakowała i spoliczkowała. Teraz była słodziutka jak miód.

Wreszcie przyszła na mnie kolej, żebym się przedstawił. Rzekłem według zwyczaju „lord Ronald Allison Hawkeswood”. Moje nazwisko i tytuł nie wzbudziły większego zainteresowania.

— Jest pan oczywiście katolikiem? — zapytał najstarszy brat.

— Z czego pan to wnosi?

— Jest pan biednie odziany. Mężczyzna pańskiego rodu i wychowania musiałby być przyzwoicie ubrany, a pan jest w niebieskich spodniach i kamizelce razem w jednej całości. Prawdopodobnie dlatego, żeby było taniej..

— To się nazywa kombinezon. — Nagle przerwałem, bo o mało

co nie rozgadałbym się o ostatnich latach XX wieku. Ciągnąłem więc ostrożniej: — Noszą to ludzie, którzy wykonują brudną robotę, żeby nie zniszczyć ubrania.

Synowie Klinga jakby się zadowolili tą odpowiedzią, a ja czułem się w tym domu dobrze, i gdy spojrzałem na zegarek, stwierdziłem, że już za późno na wizytę u notariusza. Następnego dnia powtórzyło się to samo. Muszę w duchu przyznać, że niebezpiecznie zadurzyłem się w Dolly King.

Po trzech dniach obijania się czułem się głupio. Wszyscy koło mnie pracują i usługują mi, a ja nic. Dlatego też wziąłem się do pracy. Najpierw naprawiłem płot, a potem zrobiłem pompę wodną. Znalazłem kilka rur i zrobiłem tłok. Na zawory użyłem skóry. Po kilku dniach nie trzeba już było wyciągać wody ze studni obiema rękami; wystarczyła jedna ręka. Moja pompa wzbudziła zainteresowanie sąsiadów, więc i im musiałem pomóc w zrobieniu czegoś takiego.

Mówiąc szczerze, te dni na farmie Kinga były najpiękniejszymi w moim życiu i zupełnie zapomniałem, że tu blisko, w Londynie, istnieje jakiś notariusz Angus McGregor i że mój towarzysz podróży w wehikule na pewno się zamartwia. Po czterech dniach zebrałem siły, żeby zniknąć na jedno popołudnie. Wyjaśniłem memu towarzyszowi, że, jeszcze musi czekać, a właściwie nie byłoby źle, gdyby wrócił do domu i przyjechał po mnie za miesiąc. Bez namawiania wsiadł do pojazdu i zniknął bez śladu.

Pospieszyłem do farmy Kinga. Rozmyślałem nawet, żeby w ogóle nie wracać, ale sam sobie uświadomiłem niepewność czasów, w których się znalazłem. W kraju szalała wojna do-mowa, a wiedziałem, jak się skończy, gdyż na tyle znałem historię. Ale że tutaj stracę głowę, o tym oczywiście nie miałem pojęcia.

Czas mijał, a mnie coraz trudniej było myśleć, że mogę odejść i więcej nie zobaczyć Dolly. Pewnego dnia dziewczyna przyszła do mnie, rozejrzała się, czy nas kto nie słyszy, i szepnęła:

— Kiedy się pobierzemy?

— Pobierzemy? — przeraziłem się.

— Tak... nie chcesz chyba, żeby twój potomek pozostał bez ojca.

A więc to tak. Dziecko w drodze! Jeszcze mi tylko tego brakowało... Przypomniałem sobie, że jeszcze nie odwiedziłem notariusza. Zdecydowałem zrobić to jak najszybciej i to z dwóch

powodów. Po pierwsze musiałem odnaleźć dokumenty dotyczące naszego szlache-ctwa, a po drugie...

Dolly i ja zjawiliśmy się u Angusa McGregora. Po prezentacji spytałem notariusza, czy ma jakieś papiery rodziny Allison.

— Nie, chyba bym wiedział — odrzekł notariusz, jakby mnie pierwszy raz widział. — My co dwadzieścia lat wyrzucamy stare akta oprócz tych najważniejszych. Może coś miałem, ale wątpię, bo bym jednak pamiętał.

A więc znów nic. Stało się już jasne, że muszę udać się do mego dziadka, sprawdzić, jakie on miał dokumenty. Ale teraz zwróciłem się do notariusza z tą drugą sprawą:

— Jest jeszcze coś, co chciałbym załatwić. Ta dziewczyna, Dolly King, spodziewa się mojego dziecka. Proszę mi wybaczyć, że mówię wprost, ale rzecz ma się tak: nie wiem, co się może ze mną zdarzyć do urodzenia dziecka, a chciałbym w jakiś sposób zapewnić mu status prawny. Czy można to zrobić?

Notariusz był opanowany i nie okazywał zaskoczenia. Chwilę namyślał się, a potem rzekł:

— Najprościej byłoby jak najprędzej ożenić się z Dolly King.

To by było dla mnie najprzyjemniejsze, ale za osiemnaście dni wraca mój towarzysz z wehikułem czasu, a wtedy...

— Ja też tak myślę — rzekłem — ale w tej chwili jest to niemożliwe z różnych powo-dów, między innymi dlatego, że rodzice Dolly King nie mają o niczym pojęcia. Jestem gotów podpisać każde oświadczenie, gdyby można to zrobić w ciągu osiemnastu dni...

Notariusz przerwał mi ruchem ręki.

— Nie wchodzę w pańskie przyczyny, ale moglibyśmy zrobić tak. Pan podpisze oświadczenie, że dziecko, które ma się urodzić, jest pańskie i że z góry przyznaje mu pan wszystkie prawa, które z tego wynikają. Sądzę, że taki dokument zapewniłby przyszłość pań-skiemu dziecku.

Dolly dopiero teraz doszła do głosu. Była dość rozczarowana, bo spodziewała się ślubu. Wyjaśniłem jej, że nie wiadomo, co się może zdarzyć, bo czasy są niespokojne, i że lepiej, jeśli już teraz zabezpieczymy dziecko takim dokumentem. Gdy jej to wyjaśniałem, notariusz już sporządzał oświadczenie, które miałem tylko podpisać.

A więc ja (tu widniało moje imię i jeszcze „lord Allison Hawkeswood”) przyznaję, że dziecko urodzone z Dolly King będzie

moje, pod warunkiem, że poród nastąpi do pierwszego marca przyszłego roku.

— To dla pańskiego zabezpieczenia — wytłumaczył McGregor.
— Pańskie dziecko w żadnym razie nie może się urodzić po tej dacie.

Dolly zmierzyła go ostrym spojrzeniem i pewnie rzuciłaby gorzką uwagę, gdybym nie czytał dalej oświadczenia. Była w nim klauzula, że dziecku przypadnie za mojego życia pół majątku, a po mojej śmierci reszta, jako szlacheckie dziedzictwo.

Nie miałem uwag, więc podpisałem dokument. Kiedy wyszliśmy, Dolly chwyciła mnie za rękę i wycodziła:

— Teraz oczywiście jesteś zadowolony. Załatwiłeś mnie ostatecznie.

— Co ci przychodzi do głowy, miła moja? — zaprotestowałem.
— Sama wiesz, że nie możemy zaraz się pobrać, a jeśli mi się coś stanie... Dlatego zrobiliśmy najlepiej, jak tylko było można.

To ją trochę uspokoiło, a ja już myślałem, jak tu wsiąść do wehikułu i popędzić do dzia-dka, by ostatecznie wyjaśnić sprawę szlactwa. Nie było to zbyt uczciwe z mojej strony, ale uspokoiłem własne sumienie decyzją, że prędzej czy później wrócę po Dolly, choćbym ją nawet miał sprowadzić do moich czasów.

Po wieczerzy siadłem za domem i przyglądałem się niebu... Przeklęty tytuł szlachecki! Czy. moja rodzina nie mogłaby żyć całkiem przyjemnie bez tego „Hawkeswood”? I właśnie mnie sobie znaleźli do wybierania kasztanów z ognia... Nagle wydało mi się, że coś zaszele-ściło w stodole. Nie mogła to być mysz, tylko jakieś większe zwierzę.

Wstałem i cichutko podszedłem do wrót stodoły. W tym momencie poczułem, że coś mnie ścisnęło za gardło, a mój krzyk zmienił się w cichy charkot. Mimo ciemności zatańczyły mi przed oczami kolorowe plamy. Coś mnie pociągnęło i rozległy się szepty.

Otworzyłem oczy, chyba po lekkiej utracie świadomości, bo nie pamiętam, żebym leżał i żeby mi jakiś typ siedział na piersiach. Czułem pod brodą coś ostrego.

— Jeśli tylko piśniesz, poderżnę ci gardło — usłyszałem łagodne ostrzeżenie.

Oczywiście ani mi się śniło piszczeć, bo gardło miałem mocno ściśnięte czyjąś dłonią. Najgorsze było to, że nic nie widziałem. Powoli, powoli zacząłem się orientować w ciemno-ści. Głowę miałem

owiazaną szmatą.

— Obejrzyjmy go sobie — odezwał się jakiś głos i dodał: — I wymierzmy mu sprawiedliwość!

Jeszcze raz ostrzegli mnie, że jak tylko uczynię, podejrzany ruch, to mnie zarzną jak kurczaka, po czym zdjęli mi szmatę z głowy, a ja gapiłem się w światło skierowane na mnie. Po swądzie, jaki się roztaczał, wywnioskowałem, że jest to lampka oliwna.

— Dlaczego mamy zabić człowieka, który nam nic nie zawinił? — zapytał ktoś jedno-cześnie pochylając się nade mną. Teraz był lepiej oświetlony, więc go poznałem. Był to ten, co mi pożyczył konia. Znałem go jako solidnego gospodarza, a teraz, patrzcie, pokumał się z moimi prześladowcami.

— Sidney Horn — wyrwało mi się półgłosem. Były to pierwsze zbędne słowa, jakie wypowiedziałem w nowym towarzystwie.

— Tak, wasza lordowska mość, to ja — rzekł mężczyzna pochylając się nade mną. — Jeśli pan obieca, że nikomu nie powie o naszej obecności, będziemy odnosić się do waszmości łagodniej.

— Nawet w najmniejszym stopniu nie interesują mnie wasze spory, a cóż dopiero żeby się do nich mieszać — rzekłem nad wyraz szczerze. — Nikomu nawet nie wspomnę, że was tu widziałem, daję słowo. Ale gdybyście mi wyjaśnili, co to wszystko znaczy, byłbym wam bardzo zobowiązany.

Mężczyzna, który klęczał mi na piersiach, spojrział na Horna, a ten kiwnął głową. Mężczyzna wstał i teraz mogłem już oddychać.

— Wyjaśnię, jaka jest pańska sytuacja — zaczął Horn, który najwyraźniej tu przewodził. — Przede wszystkim nie jesteśmy żadni zbóje, tylko ludzie honoru, walczący o swoje życie. Ale może nie wie pan, że czternaście dni temu Cromwell zwyciężył króla pod Naseby i teraz wszyscy jego purytanie podnieśli głowy w całej Anglii i tu, w Londynie. My, którzy wyznajemy wiarę króla, jesteśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie. I to nie tylko my, anglikanie, ale i katolicy, i presbiterianie, jednym słowem wszyscy, którzy nie są independentami. Dlatego tu ukryliśmy kilku braci, będących w niebezpieczeństwie, którzy ledwie uszli z życiem z Richmondu. Jasne, że jeśli się to wyda, przepadniemy wszyscy.

Choć wszystko to było skomplikowane, zrozumiałem jednak, o co chodzi. Znalazłem się w środku wojny domowej, którą prowadzili republikanie z Karolem I, będącym głową kościoła. Cromwell, jeden z

głównych przeciwników króla, zrozumiał, że wojsko nie będzie silne, jeśli nie ma wspólnych ideałów, za które warto dać życie. Cromwell wybrał independentów, a więc tych, co negują wszelki autorytet, królewski także; zdołał w nich rozbudzić fanatyzm do tego stopnia, że ich jeźdźcy stali się symbolem grozy i okropności wśród oddziałów królewskich. Teraz, po kilku porażkach, autorytet króla zmałał i wszyscy chcieli się okazać dobrymi republikanami, a najłatwiej było to udowodnić atakiem na wczorajszego przyjaciela o tych samych przekonaniach. Ci, którzy szukali schronienia na farmie Kinga, wyraźnie nie zdążyli na czas zmienić przekonań.

Moje położenie było jednak problematyczne. Wszyscy wiedzieli że jestem prezbiteryaninem, a więc należę do stronnictwa, które nowa władza będzie prześladować, ale byłem, że tak powiem, członkiem rodziny Kinga, a oni stali po stronie republiki. Czy mogą więc liczyć na moje milczenie? Było to zasadnicze pytanie. Bo jeśli bym pisał, znaleźliby się w niebezpieczeństwie nie tylko uciekinierzy z Richmond, lecz i Sidney Horn, który ich ukrywał. A do czynów patriotycznych należało podpalenie domu anglikanina, katolika lub prezbiteryanina, i to tak, żeby i on w nim spłonął.

Zaczęli się więc spierać i naradzać. W końcu nic nie pomogło, musiałem się przenieść do domu Toma Tyrella, sąsiada Horna i współwyznawcy idei, gdzie praktycznie byłem więźniem, mogłem się poruszać tylko po posiadłości, i to jedynie gdy nie było nikogo obcego. Miałem tu być zamknięty około miesiąca. Przez ten czas uciekinierzy z Richmond będą prawdopodobnie już daleko i wszystko będzie w porządku. Potem mogę opowiadać, komu zechcę i co zechcę, bo i tak nie będę mógł niczego udowodnić.

Tak więc ruszyliśmy do zagrody Toma Tyrella. Uciekinierzy zostali w stodole Kinga, licząc — całkiem słusznie — na to, że nikt ich nie będzie szukał u republikanów.

I co mam dalej mówić? U Tyrella doznawałem zimnej gościnności. Otrzymałem wszystko, czego sobie życzyłem, ale o swobodnym poruszaniu się mowy być nie mogło. Poprosiłem, żeby chociaż powiadomili Dolly, iż jestem cały i zdrowy, ale oczywiście nic z tego. Pełna konspiracja. Zdawałem sobie sprawę, że jedyną szansą jest czekanie na wehikuł i ucieczka z tych niemiłych czasów.

Niecierpliwie liczyłem dni. Jeszcze tylko dwa i wehikuł przybędzie, wiedziałem, że mój towarzysz jest słowny.

Plan mój był prosty: pod wieczór wymknę się przez okno. Tobby mnie na pewno nie wyda... o, przepraszam, nie przedstawiłem Tobby'ego — jest to ogromny pies myśliwski, któ-ry wolno spacerował po podwórzu. Przekupiłem go sporym kawałkiem mięsa z obiadu. Na-stępnie muszę się pozbyć strażnika. Zawsze nosiłem ze sobą pistolet. Zrewidowali mnie, ale mi go zostawili, najwyraźniej nie domyślając się, do czego służy: dlatego zabrali mi scyzoryk, myśląc, że to niezwykle groźna broń.

Gdy pobędę się strażnika, pobiegnę na wzgórze, gdzie będzie mnie oczekiwał wehikuł. Dalej pójdzie już łatwo: wskoczę do pojazdu, przesunę dźwignię i zniknę... Ale najpierw należało doczekać tego szczęśliwego dnia.

Nie trzeba szczególnie podkreślać, że moje zdenerwowanie rosło odwrotnie proporcjo-nalnie do liczby dni oczekiwania. Straciłem apetyt i jadłem na siłę, by nie wzbudzić podej-rzeń, a resztki wielkodusznie oddawałem Tobby'emu. Kiedy dzieliły mnie już tylko 24 godzi-ny od ucieczki, do głowy zaczęły mi przychodzić różne głupie pomysły: może tak pożegnać się z Dolly? Może wypadaloby zostawić jakiś list wyjaśniający moje postępowanie?

Oczywiście ni jedno, ni drugie nie wchodziło w rachubę, więc zatrzymałem się przy trzecim pomysle: podpalić dom. Powstałaby panika i miałbym lepszą okazję zniknąć...

W rogu mego pokoju był w suficie otwór, można by więc dostać się na strych, zakłada-jąc, że do otworu da się przystawić drabinę. Drabiny jednak nie było, musiałem więc impro-wizować. Najpierw dobrze zamknąłem drzwi, potem przysunąłem pod otwór stół. Na stół postawiłem trzy krzesła, a na nich czwarte. Wspiąłem się do otworu i popchnąłem klapę. Ciekawe, dała się unieść. Wydostałem się na strych i po omacku trafiłem na komin.

Już chciałem iść dalej, ale wpadła mi do głowy świetna myśl. Wróciłem do izby i wziąłem ze stołu nóż do mięsa. Ten nóż mieli na oku, ale czubek był tępy, więc nie mogli uważać noża za niebezpieczny. Zadanie nie było wcale łatwe, ale gdzieś o północy mogłem już precyzyjnie przecisnąć pięść przez otwór. Miałem, co chciałem: dywersję! Trzeba było uwagę nie-przyjaciela skierować na jakieś nieważne miejsce, a właściwe uderzenie nastąpi zupełnie skądinąd. Trzeba było jeszcze wykonać jeden drobiazg: nie dopuścić, żeby dym szedł na strych. Spuściłem się do swej izby, wziąłem kawałek chleba i

dobrze przeżułem. Otrzymałą masą zgrabnie zalepiłem dziurę. Miałem nadzieję, że wytrzyma 24 godziny, a potem będę już daleko.... Uspokojony, odstawiłem stół i krzesła na miejsce i poszedłem spać.

Następnego dnia godziny dłużyły mi się w nieskończoność. Na ucieczkę mogłem sobie pozwolić dopiero po zapadnięciu ciemności, a przedtem musiałem zachowywać się jak wzorowy więzień. Unikałem ludzi, bojąc się, że mi zamiary wyczytają z oczu.

Dokładnie o siódmej wieczorem przed moim oknem zmienił się strażnik, teraz stał jakiś drań z muszkietem, który twierdził, że był podoficerem w wojsku naczelnego wodza, Ruperta. Wszedł do mojej izby, rozejrzał się, czy nie ma czegoś podejrzanego, i wycofał się bez słowa.

Okolo dziewiętej wieczorem ciemność już była zupełna, a strażnik zaniechał spaceru pod moim oknem. Po ciemku cicho ustawiłem stół, na nim trzy krzesła, a na czubku czwarte. Teraz należało tylko cicho wspiać się i nie stracić równowagi. Zacząłem wspinaczkę. Stół skrzypiał, krzesła piszczały, ale wszystko szło jak z płatką. Nie wierzę, by hałas dochodził przez zamknięte okno, choć było wypełnione tylko świńskim pęcherzem. Wreszcie znalazłem się na strychu. Podbiegłem lekkim krokiem do komina, wyjąłem szpunt z przeżutego chleba i wrzuciłem pięć naboí z pistoletu. Liczyłem, że pozostałe trzy mi wystarczą, gdyby doszło do walki.

Następnie jak najszybciej podbiegłem do otworu i opuściłem się na górne krzesło. W tym samym czasie usłyszałem walenie w drzwi i głos drańala żądający, bym otworzył. Przez moment wahałem się. Wrócić na strych, czy wdać się w rozmowę ze strażnikiem. Byłaby to czysta strata czasu i amunicji.

Gdy się tak wahałem, ktoś z zewnątrz obrabiał drzwi kolbą. W panice chciałem szybko paść na ziemię, ale w tym momencie z kuchni, to znaczy od frontu budynku, usłyszałem kilka wybuchów. Natychmiast w całym domu i na podwórzu rozległy się krzyki, drzwi ustąpiły i ukazał się mój drańal. Ale stało się jeszcze coś. Krzesła straciły równowagę razem ze mną i wraz z nimi runąłem w dół. Zauważyłem przy tym osłupiałą twarz strażnika, która niebezpiecznie się zbliżała. Po chwili uderzyłem go nogami w piersi, a jednym z krzesel zszedłem w głowę.

W kuchni zgromadzili się ludzie krzycząc. Czy coś odkryli, nie wiem, ale naboí nie straciłem daremnie. Nikt nie zważał na moją część

domu i w kilku susach dopadłem płotu, przeskoczyłem, przy czym muszkiet posłużył mi za tyczkę.

Moją ucieczkę śledziła tylko jedna para oczu, a patrzyły one przyjaźnie. Były to oczy Toby'ego, mego czworonożnego przyjaciela. Gdyby teraz zaszczekał, miałbym na karku co najmniej pół tuzina ludzi.

Spokojnie pobiegłem ku pagórkowi, gdzie powinien czekać wehikuł. Nie wstąpiłem do Dolly. Zaniechałem tego planu, gdyż jej dom był dokładnie w przeciwnym kierunku niż pagórek, do którego musiałem się dostać, jeśli chciałem ocalić własną skórę.

Usłyszałem, że biegnie za miną kilkoro zadyszanych ludzi. Tymczasem byli niegroźni, bo mnie nie widzieli, ale nieprzyjemna była świadomość, że biegli w tym samym kierunku. Zauważyłem, że się rozciągają; najwyraźniej chcieli mnie otoczyć.

Wtedy przez mózg mi przebiegła straszna myśl: a jeśli odkryli wehikuł i zabrali go? Mi-mo to wspinałem się na pagórek i nerwowo przeszukiwałem zarośla. Nagle huknęły za mną strzały. Koło uszu gwizdnęła kula, a ja nie mogłem się nadziwić, jak w tej ciemności dobrze strzelają. Ręce mnie świerzbiły, by im się zrewanżować, ale rozum zwyciężył i pogałem, jak mogłem najszybciej, na szczyt wagonika.

— Ronald, tu jestem — usłyszałem głos mego towarzysza z wehikułu. — Zdaje mi się, że zrobiło się gorąco!

Popędziłem w kierunku tego głosu.

Towarzysz z wehikułu złapał mnie i natychmiast wciągnął na szczyt. Tam na kawałku wolnej przestrzeni czekał nasz pojazd. W tym momencie znów padło kilka strzałów i kilka kul gwizdnęło koło nas.

— Jedźmy szybciej — rzekłem i wskoczyłem do pojazdu.

— Nie tak prędko, rzuć tę pukawkę. Widzę, że ci sprawia tylko kłopot.

Odebrał mi muszkiet i teraz dopiero zobaczyłem przyczynę celności moich nieprzyjaciół. Muszkiet był na lont, a ten był przymocowany do kurka. Kiedy nacisnęło się spust, lont zbliżał się do ładunku prochu i wywoływał strzał. A ten lont się palił, czego w podnieceniu nie zauważyłem, i moim prześladowcom wskazywał cel.

Rzuciliśmy muszkiet w krzaki i wsiedliśmy do wehikułu. Kilka ruchów dźwignią i wszystko wokół nas zniknęło w jakimś szarym świetle.

Towarzysz mój zapytał:

— Wracamy do domu czy?...

— Do domu. Muszę naradzić się z rodziną, a potem zobaczymy, co i jak.

Kiwnął głową, a ja rozprężyłem się w fotelu. Po wielkich przeżyciach ostatnich godzin nastąpiła reakcja — zasnąłem.

* * *

Radę familijną rozczarowało moje sprawozdanie. Czyż przez jakiś zbutwiały dokument mamy nie mieć dostępu do dobrego towarzystwa? Padały ostre uwagi pod adresem notariusza Angusa McGregora, a pod moją nieobecność i moim. Nic dziwnego — zadania nie wykonałem. Wtedy zapadła jednogłośnie decyzja, że muszę jeszcze pofatygować się do dziadka o pełnym nazwisku Basil Henry Allison lord Hawkeswood. Miałem za zadanie w obojętny sposób zdobyć od niego oryginał lub odpis dokumentu dobrze uwierzytelniony. Ponieważ wiedzieliśmy, że dziadek stracił ten akt i to zdaje się przed ożenkiem, należało spotkać się z dziadkiem jako młodym człowiekiem.

Adres był nam znany. Był to nasz dom przy King Street, więc żeby nie wzbudzać niepotrzebnej sensacji, ulokowałem wehikuł w piwnicy. Stąd jakoś dostanę się do dziadka, a dalej pójdzie łatwo.

Tym razem zdecydowałem lecieć sam. Nie musiałem bać się niespokojnych czasów, a przybywałem z wizytą do własnego dziadka, wierząc, że wszystko dobrze się skończy, pożegnalem się z rodziną i zasiadłem w wehikule.

Cofnąłem się o siedemdziesiąt pięć lat. Najpierw otaczała mnie ciemność. Tak, byłem w piwnicy, a obok mnie, na prawo i na lewo, leżały poukładane w sterty beczki. Czy mój dziad handlował winem, czy był pijakiem? Tego na razie nie mogłem ustalić.

Wyjście z piwnicy było niemożliwe z powodu żelaznych i solidnie mocowanych drzwi. Walić w drzwi i narobić hałasu, że przybył lordowski wnuk? Bez sensu. Rozejrzałem się więc po oknach. Wszystkie były zamknięte, ale od wewnątrz, mogłem więc wybierać, przez które chcę wyjść. Zdecydowałem się na to, do którego był najłatwiejszy dostęp.

Dobrze, można i tak, pomyślałem pełen optymizmu. Wejść do

domu jak człowiek dobrze wychowany.

Służący długo się zastanawiał, a gdy usłyszał, że chce mówić z jego lordowską mością, zapytał:

— A przepraszam, kogo, powiedział pan, mam zaanonsować?

— Lord Ronald Allison Hawkeswood — odrzekłem z flegmą.

— Bardzo ciekawe — szepnął służący i znikł. Po chwili zjawił się i oznajmił: — Jego dostojność prosi.

Poprowadził mnie przez znane korytarze i kilka pokoi. Wszystko było takie samo, jak w naszych czasach, tylko umeblowanie inne. I jeszcze coś. Nigdzie ani śladu elektrycznych żarówek, wszędzie do oświetlania używano gazu.

W końcu dotarliśmy do dziecinnego pokoju, który teraz był gabinetem dziadka. Jeszcze zanim wszedłem, słyszałem przez półotwarte drzwi, jak ktoś mówi:

— Takiego wprowadzić nie ma, ale zobaczymy, czego chce ten młokos.

— Może na wszelki wypadek wezwiemy policję? — zapytał kobiecy głos.

Odpowiedzi nie doczekałem, gdyż właśnie wszedłem do pokoju. Przy stole siedział młody człowiek niespełna trzydziestu lat. Przed nim stała młoda dziewczyna mniej więcej w moim wieku. Wyraźnie zmieszała się na mój widok, a dziad, gdyż niewątpliwie to on siedział przy stole, uśmiechnął się przyjaźnie, wstał i wyszedł mi na spotkanie.

— Jeśli się nie mylę, mam honor mówić z lordem Ronaldem Allisonem?

— W rzeczy samej — odrzekłem, wyczuwając lekko ironiczny ton w głosie mego dziadka — przypuszczam, że przede mną stoi lord Basil Allison we własnej osobie.

— Przypuszczenie słuszne — sucho odpowiedział dziad, po czym zwrócił się do dziewczyny: — Mabel, byłoby właściwe, gdybyś zostawiła nas samych. Nie wiem, o czym będzie mówić jego lordowska mość.

Znów „lordowska” było szczególnie podkreślone. Niewątpliwie dziad brał mnie za oszusta.

— Właściwie nie jest żadną tajemnicą to, o czym chciałbym porozmawiać, prosiłbym tylko o pokazanie pewnego dokumentu, mówiącego, z których Allisonów pochodzimy. Mam z tym w rodzinie wiele kłopotów, więc ośmieliłem się prosić o pomoc.

Dotychczasowe napięcie na twarzy dziadka zmieniło się w wyraz zdumienia.

— Jeśli tylko o to chodzi, chętnie służę. Jedną chwilkę, proszę...

Po tych słowach dziadek podszedł do sejfu w ścianie, wyjął z niego wielki plik papie-rów i zbliżył się do stołu.

— Chciałbym wiedzieć, z których pan jest Allisonów — rzekł. — Dotychczas sądziłem, że nasza linia jest jedyną w Brytanii.

— To właśnie i mnie interesuje — rzekłem szybko, gdy dziad rozwijał papiery — dlate-go też zwróciłem się z tym do pana, gdyż może uda się to wyjaśnić.

— Dobrze — rzekł dziad i podał mi papier, który wydał mi się dziwnie znajomy. — Na tej podstawie wiemy, kiedy po raz pierwszy w historii pojawili się lordowie Allison. Ród jednak musi być dużo starszy. Proszę.

Trzymałem w ręku — ledwie oczom wierzyłem — moje własne oświadczenie, które podpisałem niespełna miesiąc temu! W porządku, oczywiście nie jesteśmy lordami, gdyż całe szlachectwo opiera się na oświadczeniu jakiegoś Ronalda Allisona, który w dobrej wierze podpisał, że rzeczywiście jest lordem. To tak jakby ktoś się podniósł do góry za własny kołnierz. Ale inny fakt był jeszcze ciekawszy, żeby nie powiedzieć wprost katastrofalny. Przede wszystkim mój dziad był nie tylko dziadkiem, ale i moim praprawnikiem, a żeby rzecz była jeszcze ciekawsza, ja sam byłem własnym praprawnikiem. Bo dziecko, które uro-dziła Dolly, było moim dzieckiem i jednocześnie prapraprzodkiem.

Wybuchnąłem spazmatycznym śmiechem. Lord patrzył na mnie najpierw nic nie rozu-miejąc, a potem widząc, że nie przestaję się śmiać, przybrał groźny wyraz.

— Czy mógłbym wiedzieć, co w tym jest tak zabawnego i wesołego?

— Bardzo chętnie wyjaśnię — wydusiłem z siebie. — Po pierwsze, proszę nie myśleć, że jest pan moim dziadkiem. Tak, to wprawdzie możliwe, ale właściwie to ja jestem pańskim przodkiem.

Dziadek zaczął mrugać, jakby się nie mógł w tym pozbierać, a potem wycedził:

— Pan jest szalony. Biorąc jednak pod uwagę, że jesteśmy w pewien sposób spokre-wnieni, postaram się umieścić pana w najlepszym szpitalu.

— Zanim mnie pan zamknie w domu wariatów, proszę pozwolić mi udowodnić to, co powiedziałem. Przede wszystkim, czy nie zauważył pan, że nazywam się tak samo jak ten, który podpisał to oświadczenie?

— Nazwiska nic nie znaczą. Ja mogę się nazywać Cezar i też nie będę cesarzem rzym-skim.

— To prawda, ale czy może pan podpisać Cezara identycznym charakterem pisma? A ja mogę. Proszę spojrzeć.

Wziąłem ze stołu kawałek papieru i pióro do ręki. Podpisałem dokładnie tak, jak wyglądał podpis na dokumencie.

— Jest pan nie tylko szalony, ale i doskonały fałszerz — nie dał się zbić z tropu dzia-dek.

— Przepraszam, ale przypuszczam, że ten dokument jest dobrze schowany, a więc nie mogłem się do niego dostać, żeby wyćwiczyć ten podpis.

— To prawda, lecz...

— Żadne „lecz”. W końcu mam też inne dowody. Proszę pójść ze mną do piwnicy.

— Do piwnicy z szaleńcem? Byłbym jeszcze bardziej szalony, gdybym usłuchał.

— Jeśli nie chce pan dowodu, musi pan uwierzyć mi na słowo.

— Nie mogę, jeszcze jestem przy zdrowych zmysłach. Jakże pan może być moim przo-dkiem? Miałby pan ponad trzysta lat, a wygląda pan młodziej ode mnie. Do tego nie może być pan moim wnukiem, gdyż w ogóle nie mam dzieci. Jeszcze się nie ożeniłem.

— Wszystko to jest logiczne, ale jednak nieścisle; chciałbym jeszcze coś wyjaśnić. My w ogóle nie jesteśmy lordami.

— Co pan znów plecie? A ten dokument?

— Nic niewart. Przez cały czas byliśmy przekonani, że ten dokument potwierdza szla-chectwo, a w rzeczywistości ja sam go podpisałem w dobrej wierze, że zaiste jestem lordem. To wszystko!

Dziad zamyślił się, a potem rzekł chrapliwym głosem:

— Może się pan radować, gdyż mnie to tak samo dotknęło, jak i pana.

Widziałem, że coś mu nie daje spokoju. Myślał z napięciem, a potem nagle się zdecydował:

— Zgoda. Dla dobra rodziny zaryzykuję i pójdę z panem do piwnicy. Pozwoli pan jednak, że się zabezpieczę.

Powiedziawszy to, dziad otworzył szufladę stołu i wyjął wielki rewolwer. Był to kaliber co najmniej pół cala.

Zeszliśmy do piwnicy i stanęli przed wehikułem.

— Co to? W jaki sposób dostało się do mojego domu?

— To wyjaśnia całą zagadkę. Jest to maszyna, którą można podróżować w czasie, Ja przybyłem do pana z końca dwudziestego wieku, a przedtem byłem w siedemnastym wieku, gdyż wiedziałem, że w tym czasie pojawił się jakiś dokument.

— Jak pan udowodni, że ta maszyna wędruje w czasie?

— Bardzo prosto. Wsiądziemy do niej i przejedziemy się trochę. Chce pan naprzód czy wstecz, według życzenia. Żeby czuł się pan całkowicie pewien, proponuję odciągnąć kurek na pańskiej armacie. W ten sposób prędzej wypali, gdybym może pana zaskoczył.

Dziad wahał się chwilę, a potem się zgodził.

— Wchodzimy!

— Naprzód czy wstecz? — zapytałem uprzejmie.

— Wstecz. Przyszłości nie mógłbym sprawdzić.

Itak ruszyliśmy. Widzieliśmy angielskich żołnierzy, jak kroczą ku portowi. Było to w okresie wojen napoleońskich. Następnie ujrzeliśmy tłumy ludzi, jak uciekają z tobołkami. Spojrzałem na kalendarz. Był rok 1665, połowa czerwca. Zwróciłem dziadkowi uwagę na datę, a on natychmiast zawołał:

— To zaraza! Tego roku pochłonęła prawie siedemdziesiąt tysięcy ludzi.

— Będzie więc rozsądnie, jeśli się jak najprędzej oddalimy.

Pomyślałem o Dolly. Wtedy jeszcze mogła żyć, ale nie miałem ochoty zjawiać się w tym okresie. Kto wie, jakie jeszcze mogłyby wyniknąć komplikacje. Zatrzymaliśmy się jako dobrzy Brytyjczycy w roku 1066. Patrzyliśmy przez okno i widzieliśmy pędzących na nas jeźdźców. Na ich spotkanie szli jacyś ludzie uzbrojeni w wielkie tarcze i siekiery na długich styliskach. Ponieważ jedni szli z jednej strony wzgórza, na którym staliśmy, a drudzy z drugiej, było jasne, że znajdziemy się w środku bitwy, która się jeszcze nie zaczęła.

— To są ostatnie walki pod Hastings — powiedziałem dziadkowi w rewanżu za zarazę. — Teraz Normanowie zajmą Londyn, a Sasowie będą próbowali go obronić.

— Lepiej będzie, jak się oddalimy. Ci tam jakby mieli jakieś zamiary — powiedział dziad wskazując palcem.

Rzeczywiście, z grupy normandzkiej konnicy oddzieliło się dziesięciu jeźdźców i z nastawionymi kopiami zblizali się w pędzie ku nam.

— Lepiej będzie zniknąć. Chciałbym też wiedzieć, czy musimy się cofnąć do czasów rzymskich?

— Wystarczy — westchnął dziad. — Widzę, że dzieją się dziwne rzeczy, których właściwie nie mogę pojąć. Wiem tylko jedno.

— Mianowicie? — rzekłem po wykonaniu wszystkich czynności zezwalających na powrót.

— Mianowicie to, że nasze szlachectwo jest sprawą straconą. Potwierdza to dokument, który braliśmy za źródło naszego rodu. Póki pan żyje, dokument świadczy przeciwko nam, gdyż swoim podpisem może pan udowodnić, jak się rzeczy mają naprawdę.

— Wiem to już od dwóch godzin, drogi dziadku.

— I dlatego nie nosiłbym dokumentów, które mnie mogą zniszczyć, oto, co zrobimy.

Idziad, zanim zdążyłem wyrzec słowo, podarł moje oświadczenie na drobne kawałki.

— Tak, teraz jesteśmy pewni. Kto chce, niech wierzy, kto nie chce, jego wola — rzekł dziad i jakby się pogodził z losem.

Zostawiłem dziadka w piwnicy, radząc, że jeśli ktoś zamknał drzwi, to niech wyjdzie oknem, przez które ja wyszedłem. Dziadek był tak oszołomiony, że nie wiem, czy zrozumiał. Tak więc zostawiłem go w piwnicy i ruszyłem w drogę do moich czasów.

Nieustannie jednak rozmyślałem nad jedną rzeczą, która była dla mnie niejasna. Dlaczego ludzie najpierw mnie poznawali, a kiedy wróciłem, nie mieli pojęcia, kim jestem? I gdy właśnie chciałem zatrzymać wehikuł czasu, znalazłem odpowiedź. Dla mnie pierwsze spotkanie było w roku 1647, ale ludzie z przeszłości widzieli mnie po raz pierwszy w 1645 roku, a więc według ich czasu przybyłem wcześniej, zanim przybyłem dwa lata później. Sprawa trochę skomplikowana, ale całkowicie jasna.

SPIS TREŚCI

Fantastycznie barwne życie (o Autorze)	
02	
Proces	03
Szlachetnie urodzony	16